

**ADAM HEYDEL**

# **ETATYZM PO POLSKU**

**GOSPODARCZE GRANICE LIBERALIZMU I ETATYZMU  
DĄŻNOŚCI ETATYSTYCZNE W POLSCE**

Officina Liberalów, Warszawa 1981

Transkrypcja: Tomasz Maślanka, Karolina Maślanka

Korekta: Anna Gruhn, Jan Lewiński

Wersja PDF: Jan Lewiński

**INSTYTUT LUDWIGA VON MISESA, 2006**

[www.mises.pl](http://www.mises.pl)

## ADAM HEYDEL (1893-1941)

Życie znakomitego uczonego przebiegało dość typowo jak na Polaka w owym okresie. Heydel przyszedł na świat 6 grudnia 1893 roku w Gardzienicach, w guberni radomskiej, lecz, jako syn poddanego austriackiego, ukończył Gimnazjum im. Sobieskiego w Krakowie. Początkowo studiował w Moskwie i Kijowie (podczas rewolucji jego ojciec był więziony na słynnych Butyrkach), ale ostatecznie uczelnię ukończył w Krakowie, już podczas wojny, w której wziął zresztą czynny udział w roku 1918 (jako członek i współorganizator Ochotniczej Legii Akademickiej). W lutym 1919 r. skończył służbę w grupie pancerniej, by zdać końcowy egzamin na UJ – po czym przez kilka miesięcy pracował jako referent ekonomiczny Wydziału Prasowego MSZ w Warszawie. W roku 1921 obejmuje asystenturę na UJ, a w roku następnym przenosi się na Akademię Handlową. Jednocześnie wykłada ekonomię na kilku wydziałach UJ – habilituje się w 1925 r., wydając pracę „Podstawowe zagadnienia metodologiczne ekonomii”. Stał w niej zdecydowanie na gruncie krakowskiej (zwanej w Polsce czasem „austriacką”) szkoły ekonomii, której seniorem był podówczas Adam Krzyżanowski. Mimo to w roku 1927, już po zamachu majowym, obejmuje stanowisko w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświaty Publicznej – zmieniając je szybko na posadę dyrektora prywatnej szkoły handlowej dla kobiet. Wykłada jednocześnie na obydwu uczelniach.

Profesorem UJ zostaje w r. 1929, choć sytuacja polityczna w kraju staje się coraz trudniejsza dla wyznających poglądy liberalne. W r. 1933 dekretem ministra Jędrzejewicza zostaje przeniesiony w stan nieczynny – tj. odbiera mu się prawo wykładów na uczelniach. Przebywa wówczas w USA (stypendium Rockefellera) – a po powrocie kieruje Instytutem Ekonomii PAU. Prowadzi ożywioną działalność publicystyczną, zbijając coraz natrętniejsze poglądy etatystów – wówczas też publikuje „Teorię dochodu społecznego” (1935) – może to uczynić, gdyż cenzura nie obejmuje w tym czasie prac naukowych. Nacisk sanacji zresztą słabnie i w 1937 r. Heydel mianowany zostaje profesorem zwyczajnym UJ, podejmując z powrotem obowiązki, które sprawować będzie do 6 listopada 1939, kiedy to w ramach „Sonderaktion Krakau” profesorów UJ wywieziono do Sachsenhausen.

Zwolniony 8 lutego 1940 (wraz ze wszystkimi, którzy przekroczyli 40 lat) wyjeżdża do Brzozy, rodzinnego miasteczka, będącego własnością jego brata, Wojciecha. Rozpoczyna czynną pracę konspiracyjną, jednak po pół roku jedna z osób należących do siatki pada ofiarą prowokacji. Wszyscy zostają aresztowani i osadzeni w więzieniu w Skarżysku.

Komendantem placu był tam płk von Heydel, który – stwierdziwszy, iż jego więzień wywodzi się z tej samej saskiej rodziny – usiłował namówić go

do podpisania Volkslisty, a następnie chociażby oświadczenia, że prof. Heydel pochodzi z rodziny niemieckiej, w zamian obiecując, że wszystko pomyślnie załatwi. Profesor odpowiedział tylko: „Niestety, nie mogę tego zrobić, gdyż nic mnie nie łączy z narodem niemieckim”. Decyzji nie zmienił. Wraz z innymi aresztowanymi przewieziony został do Oświęcimia – tam też wszyscy jednego dnia zmarli, według urzędowego oświadczenia komendy obozu: „z powodu niewydolności serca”.

Adam HEYDEL osierocił żonę i trzy córki, do dziś mieszkające w Małopolsce. Choć jego poglądy były po wojnie zawzięcie tępione (sam Oskar Lange polecił usunąć jego podręczniki ze studenckiego księgozbioru), jednak pamięć przetrwała. Dziś te idee wieńczone są nagrodami Nobla – zaś Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego jednomyślnie przyznał pośmiertnie profesorowi medal „MERENTIBUS”. Wydaje się, że nadeszła pora by upomnieć się o godniejszą oprawę jego zasług.

# GOSPODARCZE GRANICE LIBERALIZMU I ETATYZMU

ADAM HEYDEL

*Die antiliberale Politik ist  
Kapitalaufzehrungspolitik.*

Ludwig von Mises, *Liberalismus*

Podkreślam raz jeszcze tytuł: nie będę mówił w niniejszej pracy o etycznych, politycznych, narodowych i kulturalnych względach, które w wielu punktach ścieśniać mogą – ścieśniać niekiedy muszą – pole liberalnej polityki ekonomicznej<sup>1</sup>. Chcę mówić o zakresie, w którym uważam za uzasadniony liberalizm, względnie uznaje potrzebę interwencji państwa, ze względów wyłącznie gospodarczych. Przez względy gospodarcze rozumiem dążenie do powiększenia ogółu bogactwa danego społeczeństwa<sup>2</sup>.

\*

Wyobraźmy sobie dwa warsztaty produkcji, np. dwa folwarki lub dwie fabryki sukna, w zupełnie równych warunkach ekonomicznych. Oba produkują w wolnym współzawodnictwie. Jeden z nich (A) daje większe zyski netto przy mniejszej produkcji, drugi (B) wykazuje większą produkcję, a mniejsze zyski netto.

Dla większej jasności przedstawmy sobie cyfrowo bilans ich gospodarki:

	A	B
Produkcja	100.000 zł	110.000 zł
Koszta	80.000 zł	95.000 zł
Zysk netto	20.000 zł	15.000 zł

Nikt nie będzie miał wątpliwości, jak odpowiedzieć na pytanie, który z tych dwóch warsztatów gospodarowany jest lepiej z punktu widzenia prywatno-gospodarczego. Warsztat B – (biorąc pod uwagę równe warunki obu) – gospodarowany jest widocznie zbyt kosztownie. Oczywiście jest, że lepiej wyjdzie na swojej gospodarce właściciel warsztatu A, t.j. tego, którego rentowność jest większa.

<sup>1</sup> W kwestjach etycznych związanych z tym zagadnieniem wypowiedziałem się w pracy p.t. *Kapitalizm i socjalizm wobec etyki* („Przegląd Współczesny” z września 1927, s. 435-469).

<sup>2</sup> Przy niezmiennym poziomie cen przyrost bogactwa społecznego da się zmierzyć przyrostem wartości wymiennych.

Które jednak z gospodarstw pomnaża w wyższym stopniu bogactwo społeczeństwa? Które odpowiada tem samemu lepiej naczelnemu postulatowi polityki ekonomicznej? Większość zapytanych odpowie bez wahania, że społecznie korzystniejszy jest warsztat B. Wszakże – powiedzą – „społecznie” chodzi o maksimum produkcji, a nie o zyski jednostki. Warsztat B daje o 10.000 zł więcej produktów, a przez to w wyższym stopniu aniżeli A, wzbogaca społeczeństwo. Prawda, że właściciel rentowniejszego przedsiębiorstwa bardziej wzbogaca siebie, ale ten egoistyczny punkt widzenia nas nie interesuje. Ten, kto produkuje więcej zboża czy sukna, dostarcza konsumentom więcej środków do zaspakajania ich potrzeb. Zatrudnia on także w swoim gospodarstwie więcej pracy, kupuje więcej węgla, nawozów sztucznych, maszyn, narzędzi – w sumie przewyższa w tej pozycji warsztat B swojego konkurenta. O tę sumę – wywodzić będą społecznicy – wzbogaca bardziej aniżeli przedsiębiorca A, robotników, dostawców środków produkcji.

Ta odpowiedź jest w oczach fachowca-ekonomisty zasadniczo błędna, a jej uzasadnienie nie wytrzymuje najłżejszej krytyki. Ekonomista musi uznać, że ponad wszelkie wątpliwości więcej bogactwa dostarczy społeczeństwu producent A, to jest ten, który wytwarza mniej, ale osiąga większe zyski.

Na jakiej drodze dochodzi ekonomista do tego, na pierwszy rzut oka, niezgodnego ze zdrowym rozsądkiem twierdzenia? Jak to może być, by mniej produkując, dawać więcej bogactwa?

W zrozumieniu tego poglądu niema żadnych trudności – prócz jednej. Należy zdobyć się na rozpatrzenie zagadnienia właśnie z punktu widzenia ekonomisty, a nie żadnego innego. Nie zdanie inżyniera (który za najkorzystniejsze uzna wyprodukowanie maksymalnej ilości ton żelaza, metrów sukna, cystern nafty), nie zdanie przedstawiciela pracy (dla którego najkorzystniejsze będzie gospodarstwo zatrudniające możliwie największą ilość robotników), nie zdanie dostawcy surowców czy narzędzi, ani wreszcie nie zdanie konsumenta ma tu decydujące znaczenie. Trzeba się wznieść ponad nie wszystkie. Ekonomista nie może się ograniczyć do rachunku poszczególnych pozycji, bezpośrednich korzyści konsumentów, robotników, dostawców, związanych z tem właśnie przedsiębiorstwem. Musi objąć swoim rachunkiem ogół potrzeb społeczeństwa, ogół możliwych zastosowań pracy i kapitału i ogół możliwych do osiągnięcia korzyści przy danym nakładzie.

Jakiż będzie bilans takiego zestawienia?

Jeżeli, jak to przyjęliśmy w naszych założeniach, oba rozpatrywane warsztaty produkują w wolnej konkurencji, to znaczy że zysk netto osiągnięty przez A równy jest zyskowi, jaki przy tym samym nakładzie kosztów można osiągnąć w każdym innym podobnym warsztacie.

Producent A wyłożywszy 80.000 zł w kosztach produkcji, wytwarzał wartość 100.000 zł. Licząc przeciętnie, każde włożone 1.000 zł dawało 1.250 zł. Tę samą

wartość można było wygospodarować na innym kawałku ziemi, czy w innej fabryce.

Producent B włożył w swoją produkcję 95.000 zł, czyli o 15.000 zł więcej aniżeli A. Te 15.000 zł umieszczone tam, gdzie dałyby normalny dla danych warunków przyrost wartości, powinny były „dorobić” piętnaście razy 1.250 zł, t.j. 18.750. Jednakowoż warsztat B wykazuje produkcję o wartości 110.000 zł, to jest zaledwie o 10.000 wyższą od warsztatu A. W ten sposób nadwyżka nakładów nie została wyrównana i przyniosła przedsiębiorcy deficyt 5.000 zł. Strata społeczna, jaka jest wynikiem tego niegospodarczego ulokowania nakładów, jest jednak większa. Wynosi ona całą różnicę pomiędzy możliwym do osiągnięcia przyrostem wartości przy innym zastosowaniu tej samej sumy, a przyrostem istotnie osiągniętym. Przy zastosowaniu 15.000 zł przyrost możliwy do osiągnięcia był na poziomie 18.750 zł, a istotnie uzyskany wynosił zaledwie 10.000 zł. Strata społeczna wynosi 8.750 złotych. Bardziej przejrzyste będzie to rozumowanie, jeśli wyobrazimy sobie, że przedsiębiorca B rozporządzał początkowo tą samą sumą nakładów, jaką wkłada w produkcję przedsiębiorca A, i mógł osiągnąć ten sam zysk netto, do tego zysku byłby też dążył, gdyby się był kierował wyłącznie gospodarczymi kryteriami. Chcąc jednak jako człowiek „uspołeczniony” podnieść swoją produkcję i przypuszczając, że nawet, jeżeli przez to zmniejszy rentowność swojego warsztatu, przysłuży się jednak społeczeństwu, dokończył sumę 15.000 zł, którą użył w produkcji. Gdyby był tego nie robił, ta sama suma byłaby się znalazła w gospodarce innego jakiegoś, egoistycznego i wyrachowanego gospodarza (X), gdzie odegrałaby swoją rolę, przysporzyłaby mu zysków, a społeczeństwu dałaby możliwy w danych warunkach największy, przyrost bogactwa.

Uspołeczniony producent B zmniejszył swoje zyski absolutnie o 5.000 zł, relatywnie (w stosunku do sumy nakładów o 5.937 zł), a bogactwo o 8.750 zł.

Większy natomiast zysk netto pierwszego, dobrze kalkulującego egoistycznego przedsiębiorcy oczywiście społecznie nie przepadnie. Przedsiębiorca A nie spali, ani nie wyrzuci do wody tych wartości. Wyda je na dalszą produkcję (nie w swoim warsztacie, który osiągnął już możliwie największą rentowność), ale na innym polu: złoży może do banku, kupi akcje, czy nawet po prostu najegoistyczniej skonsumuje.

Niezależnie od tego, który z tych sposobów zostanie obrany, suma ta uruchomi pośrednio, jeśli nie w tej, to w innych gałęziach produkcji niemniejszą ilość pracy, surowców, narzędzi. Konsumentom zaś da większą ilość dóbr, lub dobra więcej w danej chwili pożądane, lub potrzebne.

Prawda, on sam (przedsiębiorca A – przyp. A. G.) wyprodukował o 10.000 zł mniej w postaci zboża czy sukna. Prawda także, że o 15.000 zł mniej w swoim warsztacie wydał na pracę, surowce i narzędzia, ale nie wycofał ich z innego miejsca, gdzieby najwydatniej pracowały. Już w trakcie produkcji w danym okresie dały one konsumentom 18.750 zł, a zatrudniły pracy za 15.000 zł.

Przedsiębiorca A wyda jeszcze o 5.000 zł więcej na prace robocze, surowce i narzędzia, zużytkowując swój czysty zysk. Jeżeli konsumpcję z zysków netto, która uruchomiła nowe ilości pracy i kapitału, wstawimy w rachunek, to ostateczny bilans społeczny gospodarki przedsiębiorcy A w porównaniu z producentem B wyglądać będzie następująco:

1) w okresie produkcji:

Spoleczne <i>minus</i> :	Spoleczne <i>plus</i> :
a) A wyprodukował mniej od B o ...10.000 zł	a) producent X wyprodukował nakładem 15.000 zł .....18.750 zł
b) A zatrudnił mniej pracy i kapitału od B o .....15.000 zł	b) producent X zatrudnił pracy i kapitału za .....15.000 zł
Razem .....25.000 zł	Razem .....33.750 zł

2) po skończonej produkcji:

	Producent A z zysku netto uruchomił pracy i kapitału więcej od B o .....5.000 zł
	Producent X z zysku netto uruchomił pracy i kapitału za .....3.750 zł
Razem .....25.000 zł	Razem .....42.500 zł

Różnica społeczna, która wynosiła w trakcie produkcji 8.750 zł podniesie się zatem do sumy 17.500 zł, jeżeli weźmiemy pod uwagę pośrednie konsekwencje gospodarczego lub niegospodarczego zastosowania tej samej sumy kapitału, i jeżeli, wzorując się na naszych przeciwnikach, liczyć będziemy jako pozycję „uruchomienie pewnych ilości pracy i kapitału”.

Ten cały rachunek ulegnie zmianom zależnie od cyfr, które weń wstawimy. Jedno pozostanie zawsze niewątpliwie. Każda jednostka kapitału umieszczona nie najrentowniej przynosi stratę społeczną.

Każdy egoistycznie i racjonalnie kalkulujący gospodarz pomnaża najwydatniej ilość przedmiotów zaspakajających potrzeby. Więcej będzie dóbr ogółem, choć w innej proporcji poszczególne rodzaje dóbr na rynku wystąpią.

Zboża czy sukna będzie może na skutek egoistycznej kalkulacji producenta A mniej w społeczeństwie, ale dóbr najbardziej potrzebnych, więcej w danej chwili pożądanym aniżeli zboże czy sukno, będzie niewątpliwie więcej.

Konkluzja: dobry gospodarz dąży do maksymalnego zysku netto. Swój kapitał i pracę lokuje w tych działach produkcji, gdzie je można osiągnąć. Tem samym zaś najwydatniej zwiększa bogactwo społeczne.

Ten rachunek jest niezbity. Wykazuje on najlepiej całą dobroczynną rolę swobody i wolnej konkurencji w życiu gospodarczym. One właśnie każdą cząsteczkę sił produktywnych tam kierują, gdzie jest społecznie najpotrzebniejsza.

W powyższych kilku zdaniach da się streścić cała filozofja i ewangelja liberalizmu.

\*

W tem świetle jasno uwydatnia się, jak zasadniczo błędne jest szeroko rozpowszechnione mniemanie, że zachodzi sprzeczność między produktywnością (wzbogaceniem społeczeństwa) a rentownością (wzbogaceniem jednostki)<sup>3</sup>. Niedorzecznością też okazuje się postulat socjalizmu, by produkcja skierowana była nie do osiągania zysków, ale do zaspakajania potrzeb. Każda produkcja, nie dążąca do zysków, gorzej zaopatrzy społeczeństwo, a właśnie dążenie do zysków jest zaspakajaniem potrzeb. Nie można bowiem osiągnąć zysków, nie zaspakajając potrzeb, a największe zyski osiąga się, zaspakajając najpilniejsze potrzeby konsumentów.

Z przeprowadzonej analizy fikcyjnego przykładu wynika też z żelazną konsekwencją jasny sąd o tych wypadkach, w których organizacje przymusowe, wyciągając kapitały z rąk prywatnych, lokują je w swoich przedsiębiorstwach nie według rachunku zysku, ale według kryterjów „wyższych” – „dobra społeczne”. Każde 1.000 złotych wyrwane z tego miejsca, do którego zdąża, przyciągane obietnicą najwyższego oprocentowania i umieszczone w produkcji nierentującej lub mniej rentującej jest czystą stratą społeczną, dającą się cyfrowo obliczyć.

Przedsiębiorstwa prowadzone przez organizacje przymusowe (państwo, gminy) nie pod kątem widzenia materialnego zysku są, z punktu widzenia bogactwa społecznego, trwonieniem bezpowrotnem jego zasobów; są przeto gospodarczo szkodliwe.

Przedsiębiorstwa państwowe, czy gminne, prowadzone celem osiągania zysków (komercjalizowane) są zbędne, skoro do tego samego celu dążą egoistycznie zorientowane jednostki.

Te twierdzenia uważam za udowodnione i pewne z punktu widzenia wzbogacenia społeczeństwa. Innych punktów – powtarzam – nie chcę poruszać.

\*

Tak jest zawsze i wszędzie, gdzie z dostateczną swobodą działa wolna konkurencja. Ona jest siłą, która organizuje najsprawniej życie gospodarcze. Spotykamy często z teoretycznej literatury socjalizmu, lub z praktyki bolszewickiej żywcem przejęte twierdzenia, że gospodarka taka przedstawia

---

<sup>3</sup> W wyjątkowych wypadkach, stanowiących dla praktyki życia „quantité négligéable”, może zachodzić rozbieżność. Nie dotyczy ona, naogół biorąc, gospodarki wolnokonkurencyjnej.



chaos, zamęt, żywioł nieokiełzany, który trzeba ujmować w planowość (*Planwirtschaft*) by nakierować go ku dobru ogółu.

W rzeczywistości jest wręcz przeciwnie. Wolna konkurencja sama wyznacza plan ogólny i proporcje, w których potrzebne są w danym ustroju różne działy produkcji. Każda gałąź wytwórczości, która daje zyski wyższe aniżeli przeciętny zysk, osiągany w innych działach, jest zbyt szczupło rozwinięta. Powinno się ją rozwinać i przy zasadzie wolnej konkurencji sama ona rozkwitnie, napłyną do niej bowiem, za wskazówką wyższych zysków jak za igielką kompasu, kapitały i praca.

Każdy dział produkcji, który przestaje się opłacać, względnie procentuje się niżej jak przeciętnie, jest w hipertrofji. Wolna konkurencja sama, poprzez odpływ kapitałów i pracy, ścieśni go do właściwych rozmiarów.

Niema i logicznie być nie może żadnego teoretycznego sposobu, któryby nam umożliwił obliczenie *a priori*, w jakich rozmiarach należy te lub inne działy, rozwijać. Jedyną wagę i miarę nosi w sobie każda jednostka, porównując bezustannie w życiu użyteczności krańcowe różnych dóbr i wybierając te, których użyteczność dla danej chwili jest wyższa. W tym kierunku rzuca jednostka swą siłę kupna – a owa siła kupna pobudza produkcję i każe jej się rozwijać w proporcji do natężenia potrzeb.

Prawda: zmiany techniki, warunków przyrodniczych, ilości ludności i jej potrzeb, mody it.p. bezustannie przesuwają te proporcje. Ale konsekwencją każdego takiego przesunięcia są bezustannie wytwarzające się różnice rentowności. Wywołują one reakcję ze strony istotnie gospodarczo kalkulujących jednostek, którą opisałem przed chwilą. Gdyby ten proces mógł się do końca rozwinać, dostosowanie rozmiarów poszczególnych gałęzi produkcji do rozmiarów potrzeb byłoby możliwie, w danych warunkach najdoskonalsze. Następujące wciąż dalsze zmiany warunków przyrodniczych i socjalnych nie pozwalają nigdy na doprowadzanie tej autoregulacji do końca; nie należy jednak zapominać, że każda czynność oparta na rachunku gospodarczym ku temu punktowi równowagi całość układu zbliża, każda zaś kierowana innemi motywami od owego punktu ją oddala.

To właśnie robi wszelkie wprowadzanie „planu”, o ile idzie w poprzek naturalnym dążnościami życia gospodarczego.

Słyszę już zarzut przeciwko moim dotychczasowym. wywodom: wychodzi pan z założenia, że jednostka, w gospodarce prywatnej dobrze kalkuluje, że zna swoje interesy, że wie gdzie i jak lokować swoją pracę i kapitały. To jest fikcja niezgodna z rzeczywistością. Czy nie większą utopją jest jednak przypuszczać, że urzędnik wie lepiej, gdzie jest korzyść jednostki?

Zarzut jest mimo to częściowo słuszny, a wniosek stąd płynie oczywisty. Państwo ma obowiązek kształcenia gospodarczego swych obywateli. Nie myślę o tem, by ich kształciło w teorii ekonomji. To potrzebne byłoby i pożyteczne dla

ministrów. Przeciętna jednostka powinna mieć możliwość orientacji w konjunkturze swojego zawodu. To jej wystarczy, a „brudny egoizm” powie jej wówczas, co robić, by siebie i społeczeństwo wzbogacić.

Badania konjunktury, takie, jakie za wzorem Niemiec, Anglii, czy zwłaszcza Stanów Zjednoczonych prowadzi Instytut Badania Konjunktur w Warszawie, popularyzacja wykształcenia technicznego, udostępnianie techniczne kredytu – oto racjonalizacja życia gospodarczego w dobrym stylu.

Oto zadania, na które państwo powinno poświęcać środki, trwonione bezużytecznie na wysiłki krępowania i regulacji gospodarki prywatnej w myśl urojonych „planów”.

To powinno być zrobione. Nie należy natomiast zbyt wątpić o mądrości gospodarczej jednostek. Są narody gospodarczo bardziej i mniej uzdolnione. Polacy należą z pewnością do drugiej grupy. Zdolność dorabiania się jest u nas mniejsza, jak we Francji, u Niemców, czy Anglo-Sasów, ale mimo wszystko trzeba sobie zdać sprawę z tego, że utrzymanie majątku (tekst nieczytelny – przyp. T. M.) naruszonego jest i u nas pewną normą, naogół przestrzeganą. Wypadki marnotrawstwa to wypadki wyjątkowe i patologiczne. Będę o nich mówił dalej, tymczasem zaś zwrócę uwagę na jedno: najgorszą niewątpliwie szkołą gospodarczą społeczeństwa jest przerost gospodarki publicznej. Psychologia urzędnicza jest antytezą psychologii dobrego gospodarza.

I z tego więc o punktu widzenia lepiej gospodaruje społeczeństwo niedosyc uświadomionych nawet, samodzielnych jednostek, aniżeli społeczeństwo przesycone etatyzmem.

Ktoś złośliwy powiedział: być gospodarzem kawałka kraju, jako wojewoda lub starosta, to znaczy przeszkadzać gospodarować innym.

\*

Inny zarzut, który niechybnie nasunie się na myśl czytelnikowi, obeznanemu z nowoczesną literaturą ekonomiczną, brzmić będzie jak następuje: podstawą dotychczasowych rozumowań jest gospodarka wolno-konkurencyjna. Taka gospodarka zanika. Jej miejsce zajmują coraz to liczniej mnożące się monopole. Gospodarkę monopoliczną należy traktować zupełnie inaczej. Zyski monopolisty nie są równoznaczne z korzyścią społeczną. Osiąga on je raczej kosztem społeczeństwa.

Rozpatrzmy najpierw drugie twierdzenie (ujemny sąd o monopolu). Jakie są jego podstawy?

Producent wolnokonkurencyjny nie może dowolnie wpływać na cenę, jedynym jego sposobem powiększenia zysku jest, utrzymane w granicach rentowności, rozszerzanie produkcji. Sprzedawać musi po cenie, która pokrywa, maksymalne dla danej gałęzi wytwórczości, koszta, *plus* normalny zysk. Gdyby cenę próbował podnieść, pojawi się konkurencyjna podaż, która ją znów do poziomu kosztów obniży. Inaczej monopolista. Ten nie może wprowadzić

również dowolnie wyznaczać ceny (bo nie pozwala mu na to kurczenie się popytu na jego wytwory), ale może wybrać cenę, która obiecuje mu największy zysk ogólny. Ta cena może znacznie przewyższać koszt produkcji i różnica między ceną monopoliczną, a kosztami da mu nadwyżkę (rentę monopolisty), którą monopolista schowa do kieszeni, wyciągając ją niejako z kieszeni swoim odbiorcom.

Takie podwyższenie ceny aż do punktu, w którym zysk ogólny będzie największy, osiąga monopolista (monopol państwowy, właściciel patentu, trust) przez zmniejszenie produkcji poniżej tych rozmiarów, na których utrzymałaby się, gdyby w danej dziedzinie panowała wolna konkurencja.

Oddawna i naogół zgodnie potępiają ekonomiści tę praktykę monopolisty: z punktu widzenia społecznego. Niezawsze jednak prawidłowo motywują swoją krytykę. Uderza ona najczęściej w trzy punkty:

1. Zmniejszenie sumy wyprodukowanych dóbr. Wiemy już z poprzednich rozważań, że ten argument sam przez się nie jest ekonomicznie decydujący. Wymowny społecznie, gdy chodzi o dobra zaspakajające potrzeby warstw szerokich, przestaje działać równie przekonująco, gdy go zastosujemy do dóbr luksusowych. Zmniejszenie np. produkcji djamentów, dzięki ograniczeniom monopolicznym nie wyda się zapewne żadnemu „przyjacielowi ludu” tak bardzo karygodne.
2. Straty konsumentów wskutek podwyższenia ceny. Tym stratom odpowiada ściśle równy pieniężnie przyrost zysku monopolisty. Nie mamy sposobu obliczyć, czy strata konsumentów przeważa społecznie zysk monopolisty<sup>4</sup>. Wystarczy wyobrazić sobie ubożego monopolistę (np. artystę, wysoko kwalifikowanego rzemieślnika, lub wynalazcę – posiadacza patentu), wytwarzającego dobra, konsumowane przez warstwy zamożne, by także i tu odpadł argument sprawiedliwości społecznej.
3. Niewłaściwe, rozmieszczenie kapitału i pracy. Ten zarzut jest słuszny. Monopolista ograniczając produkcję, ogranicza także zużycie pracy i kapitału w danej gałęzi wytwórczości. Przy wolnej konkurencji pewne ilości pracy i kapitału znalazłyby jeszcze zatrudnienie w tej samej gałęzi produkcji. Przy monopolu muszą poszukiwać innego pola pracy, a tem samym przerzucają się do działów mniej rentownych. Ostatecznie musi to przynieść zmniejszenie ogólnego przyrostu wartości, którego wielkość

---

<sup>4</sup> Próba włoskiego teoretyka Barone wykazania, że strata konsumentów jest większa od zysku monopolisty, oparta na zastosowaniu pojęcia renty konsumenta, jest zasadniczo chybiona (Barone twierdzi, że większa jest strata renty konsumenta odbiorców, aniżeli przyrost zysku pieniężnego monopolisty. Zestawia w ten sposób niewspółmierne wielkości i zapomina, że monopolista osiąga ze swojej nadwyżki pieniężnej również pewną rentę konsumenta).

uznaliśmy za kryterium społecznej korzystności gospodarki prywatnej. Monopol jest w tych razach niejako odwrotnością przypadku, który rozpatrywałem wyżej, gdy produkcja rozszerza się poza granice wskazane rentownością. Jest też równie szkodliwy.

Nie należy przeoczyć jednak, że szereg względów sprawia, iż zarzut ten w całej jego doniosłości można stosować w niektórych tylko przypadkach. Monopolista może regulować cenę i zmniejszać swoją produkcję istotnie w wysokim stopniu dowolnie, wtedy tylko, gdy jego monopol ma charakter absolutnego monopolu. Daleko częstsze w życiu gospodarczym jest zjawisko położenia nie czysto monopolicznego, ale monopoloidalnego (niejako pół-monopolu). Dane przedsiębiorstwo ma na przykład znaczną przewagę nad innymi, ale niema wyłączności. Jego przewaga płynie z trudności transportu tych samych towarów z dalszych okolic, z renomy firmy, z tajemnicy wyrobu. We wszystkich tych przypadkach wykluczona jest konkurencja, ale tylko częściowo. Jeżeli cena danego towaru zostanie przez monopoloidalne przedsiębiorstwo wyśrubowana zbyt wysoko – wystąpi konkurencja. Zacieśnia się amplituda, w której cena może dowolnie być regulowana. Rozwój techniki z innej strony zaszachowuje monopolistę: ułatwia substytucję, t.j. zastąpienie jednego towaru innym, mogącym w podobny sposób zaspokoić potrzeby. W tej roli konkurują ze sobą miedź i nikiel, nafta może być zagrożona przez upłynniony węgiel itp.

Produkt zastępczy zaspakaja nieco gorzej, lub nieco drożej te same potrzeby, ale wejdzie na miejsce dobra zmonopolizowanego, jeżeli cena tego ostatniego pójdzie tak w górę, że przeważą te różnice.

Wszystkie te względy krępują monopolistę w jego akcji podnoszenia cen na drodze ograniczania produkcji.

Inne względy mogą doprowadzić do obniżenia ceny produktu zmonopolizowanego. Taki wpływ może mieć koncentracja kapitałów. Koncentracja kapitałów prowadzi, jak wiadomo, do obniżenia kosztów produkcji jednostkowych t.j. kosztów przypadających na sztukę towaru. Jest to skutkiem ulepszeń technicznych, oszczędności na administracji, na przestrzeni – na ogóle tych czynników, które stanowią w kosztach pewną wielkość stałą w cyfrach absolutnych, której nie można obniżyć. Najjaskrawiej występuje to w masowej, produkcji przemysłowej, o której mówimy, że w szerokich granicach jest produkcją zwiększającą się po kosztach spadających.

Monopol (trust, monopol państwowy; monopol oparty na tajemnicy wynalazku) do takiej koncentracji, a przez to do obniżania kosztów prowadzi. W tych wypadkach, udostępniając lepsze wyzyskanie możliwości technicznych, może być niewątpliwie społecznie korzystny.

„Potencjalna konkurencja outsider'a; lub przemysłu pokrewnego zmusza monopolistę do wysiłków w kierunku obniżania kosztów, podobnie jak to się dzieje przy wolnej konkurencji; monopolistę łatwiej to jednak, przy wysokim stopniu skoncentrowania produkcji osiągnąć.

Inaczej jest w wypadku kartelów. Kartel, nie mogąc zamykać gorzej pracujących przedsiębiorstw, nie wprowadzając koncentracji kierownictwa, zwraca uwagę na zdobywanie zysków przez podbijanie ceny na drodze ograniczania produkcji. Jest najczęściej społecznie szkodliwy.

W ogólnym bilansie monopol, o ile nie musi się liczyć z „konkurencją potencjalną” – przynosi straty społeczne.

Czy to jest argumentem przeciw polityce ekonomicznej liberalistycznej?

By sobie z tego zdać sprawę, trzeba zanalizować warunki, które umożliwiają powstanie takiego, nie potrzebującego się liczyć z konkurencją monopolu.

Są one następujące: monopol musi, jeżeli chce uniemożliwić konkurencję, zawładnąć w całości surowcem, co najczęściej ze względu na rozmieszczenie surowca na kuli ziemskiej, nie jest łatwe. Monopol musi dalej położyć rękę, lub wejść w porozumienie z wszystkimi gałęziami produkcji, które mogą wytwarzać towary nadające się do substytucji (zastępcze).

Spełnienie obu tych warunków ułatwia w wysokim stopniu polityka interwencji w formie protekcyjizmu. Chronione murem celnym, dochodzą poszczególne gałęzie produkcji w poszczególnych krajach z łatwością do porozumienia. Krajowe kartele i trusty wyrastają jak grzyby po deszczu. Zniesienie cel a – zatem dopuszczenie konkurencji zagranicznej – podcięłoby rozwój większości z pośród nich.

Monopoliczne ustroje na rynku międzynarodowym nie są liczne i, jak dotychczas, nie bywały trwałe. Próby monopolicznego kierowania produkcji i ustalania cen, to tych, to innych gałęzi produkcji (Anglja, kauczuk – konkurencja Holandji; trust miedziany – konkurencja niklu) natrafiają tu na duże przeszkody. Różnice warunków naturalnych, ustosunkowania pracy, kapitału i surowców, przeciwieństwa polityczne it.p. ułatwiają w wysokim stopniu potencjalną przynajmniej konkurencję na rynku międzynarodowym. To stępieć musi szkodliwe ostrze monopolizacji. Niekiedy zupełnie ją uniemożliwia. Rozwój techniki bezustannie ułatwia substytucję, taksamo działa rozwój komunikacji.

Możemy więc ustalić zasadę, że im liberalniejsza polityka, tem mniej monopolu. Dlatego nie można stawiać zarzutu, jakoby liberalna polityka ekonomiczna była nieaktualna w dobie rozszerzającej się monopolizacji.

Im bardziej ją rozszerzymy, tem bardziej rozszerzy się pole wolnej konkurencji, która *zmusza* do zdobywania bogactw nie od ludzi, ale od przyrody, mówiąc lapidarnymi słowami Effertza.

\*

Potrzeby jednostek wyrażają się w ich popycie, *to jest* gotowości zapłacenia za dobra, które te potrzeby zaspokoją. Im potrzeby są silniej odczuwane, tem większą cenę gotowi są zapłacić konsumenci. Cena, którą może osiągnąć

producent, budzi do życia odpowiednią produkcję. Gdyby wszystkie potrzeby wyrażały się w gotowości zapłaty za dobra należałoby zamknąć kramiki gospodarki przymusowej (państwowej lub samorządowej). Inicjatywa prywatna zabezpieczałaby maksymalnie zaspokojenie potrzeb, nie w tych oczywiście granicach, w jakich je ludzie odczuwają, bo nie żyjemy w świecie z bajki czarodziejskiej, ale w granicach siły kupna konsumentów, to jest w granicach ich własnej siły produkcyjnej.

Nie wszystkie jednak potrzeby wyrażają się w gotowości płacenia za dobra. Płacić zgadza się człowiek tylko za takie dobra, których inaczej pojąć nie może – jeżeli więc wie, że w przeciwnym razie byłby wykluczony z pośród tych, którzy pewną potrzebę mogą zaspokoić. Są jednak dobra (lub usługi), z których korzystać może każdy, nie płacąc za nie. Klasycznym przykładem może być oświetlenie ulic w mieście. Niepodobna wykluczyć przechodnia od korzystania z tej użyteczności. Podobnie jest z brukiem ulic, lub z drogami bitymi. Walka z epidemią wychodzi na korzyść wszystkich, niezależnie od tego czy za nią płać, czy nie; to samo odnosi się do wojskowej obrony granic, ochrony porządku prawnego. Orkiestra grająca na placu publicznym dostarcza darmo przyjemności, od której w tym wypadku wykluczyć nikogo nie można. Inaczej jest, jeżeli gra w zamkniętym parku.

Te wszystkie przykłady ilustrują w sposób dostateczny odrębną grupę potrzeb, którą Gustaw Cassel nazwał potrzebami kolektywnymi. Różne jest ich znaczenie gospodarcze. Łączy je to, że nawet wówczas, gdy są żywo odczuwane przez jednostki, nie wywołują popytu. Skoro zaś tak jest, nie budzą także do życia produkcji prywatnej, która by je mogła zaspokoić. Gospodarka prywatna w tym punkcie zawodzi. Napotyka my na pierwsze ograniczenie liberalizmu.

Jedynym sposobem dostarczenia dóbr, któreby te potrzeby zaspokoili, jest pociągnięcie jednostek do świadczeń przymusowych – do podatków. Zakres tych potrzeb, to dziedzina gospodarki publicznej. Pozostaje oczywiście kwestią dyskusji, które z nich uznamy za tak ważne, że będą musiały być dostarczone środki dla ich zaspokojenia – jasne jest natomiast określenie negatywne: potrzeby, które powodują popyt, za których zaspokojenie ludzie gotowi są płacić, nie powinny być zaspakajane w drodze przymusowej gospodarki publicznej. Przy przyjęciu tego założenia gospodarka skarbowa, jak słusznie mówi Cassel, zyskuje mocną i wyraziście zarysowaną podstawę. Jest jeszcze inna kategoria potrzeb, które najczęściej zaspakajają gospodarka publiczna. Są to potrzeby, za zaspokojenie których ludzie gotowi są płacić, nie dosyć jednak by pokryć ich koszta produkcji. Jeżeli zaspokojenie tych potrzeb uznaje państwo za szczególnie ważne z pewnych względów – to dostarcza odnośnych dóbr i usług po cenach niższych od kosztów wytwarzania. Różnicę pokrywa z podatków. Przykładami typowymi są: oświata, higiena ludowa, tanie kuchnie it.p. Obiektywnego kryterjum, któreby nam wskazywało: 1) ile z tych potrzeb winno być zaspokojone, 2) po jakiej cenie należy te dobra ludności dostarczyć – niestety nie posiadamy. Nie wolno jednakowoż zapominać, że podatki, które:

1) zostają skierowane na dostarczenie tych dóbr, nie tylko przesuwają kapitały z jednej kieszeni do drugiej, ale *eo ipso* uszczuplają w zasadzie ogół bogactwa społecznego, 2) prowadzą do obniżenia dochodów także tych warstw, których potrzeby państwo chce lepiej zaspokoić (np. płac robotniczych). Można zapewne stanąć na stanowisku, że np. oświata jest tak ważnym dobrem, że należy je dawać darmo lub półdarmo nawet kosztem zmniejszenia płac robotniczych, a więc także ograniczenia konsumpcji tej warstwy w innym kierunku. Należy jednak o tem zmniejszeniu pamiętać.

Powyższe rozważania pozwalają na zarysowanie podstawy gospodarki publicznej: jest ona niestety zarysowana tylko teoretycznie. Można ją zwęzać lub rozszerzać, zależnie od tego, jak szeroko pojmie się krąg potrzeb kolektywnych lub półkolektywnych, które powinny być zaspokojone. By bliżej sprecyzować mój pogląd na właściwe jej rozmiary, sięgnę do kryterjum zastosowanego w innej okazji przez prof. Władysława Zawadzkiego. Kryterjum to, to odróżnienie istotnych żywych potrzeb, od postulatów przejmowanych z innych społeczeństw.

Polska powinna mieć ustawodawstwo społeczne tak a tak rozwinięte, polskie ambasady powinny mieć takie a takie pałace, polskie szkolnictwo powszechne, średnie, czy uniwersyteckie powinno być tak a tak uposażone, polskie miasta powinny być tak a tak wybrukowane – wszystko to dlatego, że na tym poziomie stoją kraje zachodnioeuropejskie. Oto przykłady stosowania nierealnych postulatów. Prowadzi ono niejednokrotnie do rozbudowy gospodarki publicznej w wielu gałęziach powyżej potrzeb kolektywnych społeczeństwa: buduje się szkoły stojące napół pustkami lub takie zwłaszcza, których absolwenci nie znajdują zatrudnienia w życiu gospodarczym, gmachy, których utrzymanie obciąża niepotrzebnie całe społeczeństwo it.p. Nie zachowano w tych wypadkach właściwej kolejności, w której potrzeby muszą być zaspakajane. Jest to gospodarka postawiona na głowie: sobolowy kołnierz przy delji z podartą podszewką, o którym pisał w *Życiu polskim w dawnych wiekach* Łoziński.

Kryterjów kolejności w zaspakajaniu potrzeb kolektywnych niestety niema. Wynika stąd jedna wskazówka: należy je pojmować możliwie wąsko, inaczej ich zaspakajanie, odbywać się będzie kosztem ważniejszych potrzeb indywidualnych, będzie zatem karygodnym marnotrawstwem. Bernard Shaw<sup>5</sup> obrazowo przedstawia położenie jednostki, które *mutatis mutandis* nie wyda nam się obce: „Rada hrabstwa Londynu zwraca się do nieszczęśnika walczącego zaciekle z biedą w małym sklepiku, niedożywionego, źle ubranego, nędznie mieszkającego, więc rozpaczliwie potrzebującego więcej pieniędzy dla siebie i swojej rodziny. Biorąc go za kark, powiada mu: chodź; musisz przyczynić się do ogólnego rozkwitu tej wspaniałej stolicy, której masz zaszczyt być obywatelem. Niewolno ci przebywać Tamizy na nędznym promie: musisz

---

<sup>5</sup> Patrz: Bernard Shaw, *The common sense of municipal trading*.

zbudować kolosalny most z monumentalnym dojazdem (...). Musisz stworzyć nową i wspaniałą aleję z imponującymi budynkami (...), musisz się cieszyć z rozkosznych parków (...). Nic dziwnego, że nieszczęsna ofiara tego zarozumiałego patriotyzmu lokalnego, zwraca się gwałtownie przeciw swoim postępowym dobroczyńcom i pyta ich, czy sobie wyobrażają, że jego imię jest Carnegie, Pierpont Morgan lub Rothschild, że zmuszają go do urzeczywistnienia planów milionerów”.

\*

Określiłem teoretycznie dopuszczalne granice gospodarki publicznej. Poza nimi powinien panować niepodzielnie w produkcji liberalizm. Czy jednak władza niema nic do powiedzenia na tym terenie, czy nie powinna interwenjować i nakierowywać gospodarki do wyznaczonych celów? Okaże się to, gdy wnikiemy głębiej w pojęcie bogactwa.

Definiuje się je najczęściej jako możliwość najdoskonalszego zaspokojenia potrzeb. Definicja ta nie jest jednak zupełnie jednoznaczna. Pozostaje do ustalenia o jakie chodzi potrzeby, o potrzeby chwili, czy również o potrzeby przyszłe? Jasne jest, że zależnie od tego, które z nich zechce jednostka zaspokoić, musi inaczej skierować swoją działalność gospodarczą. Jeżeli celem jej jest możliwie szerokie zaspokojenie potrzeb teraźniejszych, to rozwinie swoją konsumpcję, przyczem jedynym wskaźnikiem w jakim stosunku rozdzielić na poszczególne potrzeby zapas swych dóbr i sił, będzie dla niej zasada wyrównania użyteczności krańcowych. Jeżeli natomiast zechce zapewnić sobie zaspakajanie potrzeb przyszłych, to może to osiągnąć tylko kosztem: gorszego zaspokojenia potrzeb obecnych, odkładając część swoich zasobów na przyszłość. Nie posiadamy obiektywnego kryterium tego, kiedy bogactwo jednostki, pojęte jako zaspokojenie potrzeb, jest większe w pierwszym czy w drugim przypadku. Z punktu widzenia subiektywnego, korzystniejsze jest, poprostu to, co jednostka wybiera. Rozumując ściśle liberalistycznie, powinniśmy zatem pozostawić jednostce zupełną swobodę wyboru.

Nie ulega jednak wątpliwości, że polityk ekonomiczny musi dążyć nietylko do bogactwa w sensie maksimum zaspakajania potrzeb doraźnych ale i do jego trwałości, toteż nie może się w pewnych wyjątkowych wypadkach ograniczyć w tej kwestji do roli biernego widza. Już w granicach okresu życia jednostki zdarzają się fakty oczywistego marnotrawstwa zasobów i sił, które odbijają się na przyszłości jednostki w sposób ujemny. Jednostka, zaspakajając dowolnie potrzeby chwili, naraża się niekiedy na nędzę w przyszłości. Są to oczywiście wypadki patologiczne i nienormalne. Władza wkracza wówczas z takimi środkami jak kuratela. Nie sądzę, by powinna poza nie wychodzić.



Do tej samej kategorii z punktu widzenia gospodarczego należy marnotrawstwo sił dzięki konsumpcji destrukcyjnej<sup>6</sup>: konsumpcja opjum, kokainy, alkoholizm, pornografia, oto narkotyki, dające niejednemu najlepsze zaspokojenie potrzeb chwili, kosztem jego przyszłości. Państwo ma prawo i obowiązek nie tylko ze względów moralnych, ale i gospodarczych interwenjować w tych kwestiach. Granice są tu oczywiście płynne. Krańcowy liberalizm<sup>7</sup> prowadzi do uznania, że między używaniem opjum a tytoniu, kokainy a czarnej kawy są tylko różnice stopnia. Jedne państwa dopuszczają alkohol, inne wprowadzają „prohibicję” – względność tych rozstrzygnięć jest oczywista. Używanie narkotyków może być dla pewnych jednostek warunkiem: wydajnej pracy (częsty alkoholizm, nadmierne używanie nikotyny i kofeiny przez artystów) – teoretycznie można się na to zgodzić, w praktyce, zdrowy rozsądek nakazuje w tej dziedzinie ograniczenie zbyt daleko posuniętej swobody.

Znacznie bardziej skomplikowaną kwestją jest problem konsumpcji zbytkowej w ogóle. W tych wypadkach, gdy nie jest wprost destrukcyjna, ale tylko obojętna, trudno wprowadzać tu jakiegokolwiek ograniczenia. Jak wiadomo, ograniczenia takie stosowano na szeroką skalę w ubiegłych wiekach, bez pomyślnego rezultatu. Nie ulega wątpliwości, że te same siły gospodarcze, skierowane ku dalszej kapitalizacji i wytwarzaniu dóbr, zaspakajających potrzeby mniej zbytkowne, dałyby w wyniku większy przyrost bogactwa w przyszłości. Kryteria jednak, któreby pozwoliły przeprowadzić rozgraniczenie potrzeb luksusowych i nieluksusowych, są już absolutnie zawodne, w przeciwstawieniu do kryteriów rozróżnienia konsumpcji destrukcyjnej i obojętnej. Tam fizjologia, psychologia mogą nam, w pewnych granicach, poddać właściwe rozwiązania. Pojęcie zdrowia i choroby jest względnie obiektywne. Pojęcie zbytku jest pojęciem historyczno – kulturalnym i zupełnie subiektywnym. Mises<sup>8</sup> opowiada o „szlachetnie urodzonej” Bizantyjce, która za czasów średniowiecza wyszła za mąż za dożę weneckiego i przywiozła do Wenecji srebrne narzędzie zbliżone do naszego widelca. Opinia publiczna Wenecji potępiła jako niesłychany zbytek posługiwanie się podobnym narzędziem przy jedzeniu. Toteż gdy Bizantyjka ciężko zachorowała, uważano to za karę Bożą za rozrzutność tak przeciwną naturze. Zbytek dnia dzisiejszego staje się potrzebą szerokich mas jutro – powiada Mises i ma w tym dużo racji.

Nie należy zarazem zapominać, że w miarę rozwoju cywilizacji, nasza konsumpcja, nawet w jej części luksusowej, nabiera coraz to więcej cech celowych, a więc gospodarczo pośrednio wydajnych. Kosztowne złociste

---

<sup>6</sup> Terminologia Seligmana; używam jej według pracy Doc. F. Zweiga „Finansowanie konsumpcji”.

<sup>7</sup> Por. Mises, *Liberalizm*. [*Liberalism in the classical tradition*, 3. wyd., Cobden Press i The Foundation for Economic Education, NY 1985, s. 37. Patrz również wyd. polskie: Idem, *Liberalizm w tradycji klasycznej*, Wydawnictwo Arcana, Kraków 2001. W przypisach dalej numeracja stron pochodzi z polskiego tłumaczenia – przyp. A.G.]

<sup>8</sup> Idem, op.cit., s. 27.

i wyszywane drogiemi kamieniami niegdyś stroje, nadmiernie obfite uczty, złote naczynia, rzeźbione i malowane karoce ustępują coraz bardziej miejsca przedmiotom i sposobom zaspakajania potrzeb, których luksusowość polega raczej na doskonałości technicznej, aniżeli na ozdobności. Przedmioty zaspakajające nasze potrzeby stają się coraz bardziej narzędziami do dalszych celów, a tem samym, poza satysfakcją doraźną, ułatwiają zdobywanie zaspokojenia potrzeb przyszłości. Higjena, sport, podróże, oto typowa luksusowa konsumpcja nowoczesnego człowieka, o ileż szlachetniejsza od wulgarnych form dawnego użycia. Daleko jeszcze oczywiście do tego, by każda jednostka ograniczała się do konsumpcji, koniecznej ze względu na zachowanie i rozrośnięcie się sił wytwórczych, całą resztę poświęcając na kapitalizację.

Do tego celu, który byłby najwyższym udoskonaleniem gospodarczości jednostki (nie wiem czy zarazem najwyższym rozkwitem kultury) – wiedzie jednak droga tylko przez powolne wychowywanie społeczeństwa, nie zaś przez doraźną interwencję. Jedno bowiem jest pewne: przezorność i kalkulacja na coraz to dalszą metę, wyrabia się tylko w warunkach zupełnej pewności, że jednostka będzie mogła bez przeszkód dysponować swoim zasobem dóbr.

W wypadkach nadmiernie wybujałej chęci użycia, jak np. w okresach inflacji i poinflacyjnych, opodatkowanie zbytku może mieć swoje znaczenie – nawet zakazy przywozu, zbyt wielkiej ilości różnorodnych przedmiotów zbytku mogą niekiedy oddziaływać hamująco. Ten ostatni środek potępiany bywa przez liberalistów, którzy rozumują jak następuje: zakaz przywozu jedwabiu, wina i perfum do Polski nie ograniczy konsumpcji zbytkownej, ludzie zaczną np. uczęszczać częściej do kina. Rozumowanie to nie jest teoretycznie bez zarzutu. Konsumpcja przerzuca się wszakże, po pewnym nasyceniu, od jednej potrzeby do drugiej. Jeżeli ktoś, mając do rozporządzenia jedwabie, wino, perfumy i kino, przeznaczal na tę zbytkowną konsumpcję 20% swoich dochodów, to byłoby błędem przypuszczać, że gdy mu się uniemożliwi konsumpcję jedwabiu, wina i perfum, całe te 20% poświęci na kino. Niewątpliwie będzie częściej chodzić do kina jak poprzednio, ale i tu przyjdzie pewien stopień nasycenia, który spowoduje, że część owych 20% przeznaczy na konsumpcję mniej zbytkowną, lub na kapitalizację. W ten sposób cel, którym było zapewnienie większej trwałości jego bogactwa, byłby osiągnięty.

To wszystko, co powiedziałem dotychczas o interwencji władzy w dążeniu do zapewnienia trwałości bogactwa i rozwoju, bogactwa w przyszłości kosztem terażniejszości, odnosi się do kalkulacji w granicach „zasięgu wzroku” jednostek. Polityka ekonomiczna musi jednak sięgać dalej w przyszłość i musi mieć na oku bogactwo nie tylko bieżącego, ale i przyszłych pokoleń. Tu występuje niekiedy sprzeczność między interesem jednostek, względnie interesem żyjącego pokolenia, a interesem tej całości, jaką na setki lat stanowi społeczeństwo-naród. Wobec tego napotykamy raz jeszcze punkt, w którym liberalizm musi być ograniczony.

\*

Przykładem takiej sprzeczności interesów na krótszą i na daleką metę jest fakt marnotrawstwa wytwórczych sił pracy ludzkiej w tych wypadkach, gdy zbyt niskie płace uniemożliwiają wychowanie zdrowego pokolenia przyszłych robotników. Przyjmując, że okres produkcyjnej pracy człowieka obejmuje około 30 lat, między 20. a 50. rokiem życia, zaś w latach dzieciństwa i młodości przed rokiem 20. konsumpcja jednostki przewyższa jej dorobek, trzeba uznać, że śmierć człowieka przed rozwinięciem jego sił produkcyjnych, które pokryją uprzednią nadwyżkę konsumpcji, jest *netto* stratą pewnej sumy bogactwa.

Jeżeli nawet dla danej chwili tak niski poziom płac byłby równoznaczny z maksimum rentowności, to jednak należy wstawić w rachubę także i te straty, jako pozycję obciążającą. Państwo, z gospodarczego także punktu widzenia, ma obowiązek wkroczyć z interwencją w tych wypadkach, jeżeli ten rachunek wykaże straty dla przyszłości. Niestety, możliwości państwa są w tym zakresie dosyć ograniczone. Ustalanie minimum płac, jak to niżej wyjaśnię, jest środkiem najbardziej zawodnym. Rozwinięcie robót publicznych może dopomóc, o ile przez to nie zmniejszy popytu na pracę na rynku gospodarki prywatnej. Granice wskazanej interwencji są kwestją rachunku. Nie należy się ludzić, by bez spełnienia dwóch zasadniczych warunków podniesienia płac robotniczych: przyrostu kapitału i podniesienia wydajności pracy, możnaby było wiele zrobić sztucznie w tej dziedzinie.

Innym przykładem rachunku na dalszą metę, aniżeli zasięg gospodarczej kalkulacji jednostki, jest ogólnie przyjęta polityka leśna państwa.

Gospodarka leśna procentuje się, naogół biorąc, niżej aniżeli inne działy gospodarstwa rolnego. Stąd naturalną tendencją jednostek jest wyrąbywanie lasów i przechodzenie do innych systemów uprawy. Państwo, biorąc pod uwagę „dalsze” interesy społeczeństwa, stawia tej tendencji przeszkody w postaci ustaw o ochronie lasów. Liberal *à outrance* także i to wmieszanie się państwa uzna za niesłuszne i rozumować będzie w sposób następujący: prawda, że wyrąb lasów grozi krajowi brakiem drzewa. Ale większe zyski, osiągnięte na skutek wyprzedawania lasów i przechodzenia do bardziej rentownych systemów gospodarki, doprowadzą tymczasem do takiego wzrostu zamożności w danym społeczeństwie, że będzie nas stać na kupienie brakującego nam w przyszłości drzewa z zagranicy. Nawet jeżeli proces trzebieenia lasów na całym świecie się rozwinie, a skutkiem tego ceny drzewa znacznie pójdą w górę, nawet w takim wypadku, zyski zebrane w międzyczasie z nadwyżką pokryją ten wzrost cen i brak drzewa nie da nam się odczuć. Ogólna zaś ilość lasów na świecie nie zmniejszy się bardziej, aniżeli do granic, w których zwyżka ceny drzewa wyrówna opłacalność lasów z opłacalnością rolnictwa.

To rozumowanie konsekwentne i logiczne, jest jednak nieco zbyt prostolinijne. Pomijam kwestję lasów wyraźnie ochronnych, których wycięcie mogłoby spowodować poważne zaburzenia wskutek obniżenia się poziomu

wód, obsypywania się zboczy górskich, wyjałowienia zupełnego ziemi it.p. Nawet jednak w tych wypadkach, gdzie powyższe względy nie grają decydującej roli – i gdzie można wykorzystać ziemię z pod lasów w innej uprawie – rozumowanie posługujące się wyłącznie kalkulacją zysków musi tu częściowo zawodzić. Las istotnie można na nowo wyhodować i zwyżka ceny drzewa doprowadziłaby kiedyś do tego. Wobec jednak bardzo długiego terminu: 60-100 lat, w którym nadmiernie uszczuplona ilość lasów może się dostosować do najkorzystniejszych rozmiarów, mamy tu przypadek, gdzie autoregulacja życia gospodarczego działa szczególnie leniwo. Stąd to pojęcie gospodarki rabunkowej może być słusznie w stosunku do tych problemów zastosowane.

Podobnie, choć bardziej jaskrawo, wygląda kwestja torfów lub pokładów węgla kamiennego. Przyrodniczo rzecz biorąc, bezustannie się one na nowo odtwarzają. Niemniej jest jasne, że w granicach czasu dostrzegalnych dla człowieka wyczerpywanie tych zapasów na dziś jest rabunkową gospodarką wobec gospodarczego jutra. W tych wypadkach lub np. w wypadku wyczerpania benzyny niemamy możliwości strat przyszłych wyrównać. Prawda, że przyrost bogactwa, ułatwień technicznych it.p. może nam tymczasem ułatwić wynalezienie środków zastępczych (np. siła spadku wód, wiatru) i – trzeba to przyznać – dotychczas wynalazczość z nadwyżką te straty umiała nadrobić, ale gwarancji, że na czas owe zastępcze sposoby się znajdują, oczywiście niema. W praktyce nie ogranicza się dobycia węgla, ani rudy żelaznej. Wyczerpanie osiągalnych technicznie pokładów jest bowiem tak odległe, że w granicach możliwych obliczeń nie wchodzi w rachubę. Ostatnie informacje o ropie naftowej są również raczej optymistyczne.

W wypadku lasów sprawa stoi nieco inaczej: zostaną one odtworzone, bo skłoni do tego kiedyś wysoka cena drzewa. Tymczasem jednak możemy przechodzić przez katastrofalny brak drzewa. Wahania jego ilości i cen mogą być tak ostre, że nabiorą wyraźnych cech kryzysu. W zakresie leśnictwa tedy ustawodawstwo ochronne ma charakter rozsądnej asekuracji potrzeb przyszłych pokoleń. Okres kalkulacji, wychodzący poza zasięg wzroku jednostki, usprawiedliwia tę asekurację. Zupełnie natomiast nieuzasadnione jest, przenoszenie tego samego sposobu myślenia, na te działy gospodarki, które obracają się w krótkich terminach.

Przykładem takiego błędnego rozumowania bywa polityka handlu zagranicznego. Rząd polski zakazując wywozu zboża w jesieni, w latach ubiegłych stał na stanowisku, że taki wywóz nie jest dopuszczalny, prowadzi bowiem do konieczności dowożenia zboża z zagranicy na wiosnę, po wyższych cenach. Wywieziemy jesienią, powiedzmy, 10 milionów centnarów po 30 złotych – kraj zyska więc 300 milionów, a przywieziemy na wiosnę 10 milionów centnarów po 35 złotych, kraj straci 350 milionów. Strata *netto* wyniesie 50 milionów. Takie rozumowanie było symplicystyczne. Kapitał 300 milionów osiągnięty z wywozu w jesieni i zatrudniony produktywnie pozwala wygospodarować na wiosnę sumę od 300 milionów niewątpliwie wyższą. Jeżeli

zboże nie zostaje wywiezione, to leży jako martwy kapitał w stertach i śpichrzach. Czy jednak nadwyżka, możliwa do osiągnięcia w postaci wygospodarowanych zysków, może dorównać różnicy cen? Czy może ją przewyższać? W tym ostatnim dopiero wypadku byłoby wskazane wypuszczenie zboża z kraju.

Odpowiedź leży w problemie stopy procentowej. Rozstrzygające znaczenie, ma tu stosunek wysokości stopy procentowej wewnątrz kraju i zagranicą. Różnica cen zboża w danym kraju w jesieni i na wiosnę nie może znacznie przekraczać stopy procentowej w tym kraju panującej. Gdyby ta różnica cen znacznie ją przewyższała, to okazałoby się korzystne lokować kapitały w zbożu, zakupywanem spekulacyjnie na jesieni, a rzucanem na targ na wiosnę. To właśnie działanie spekulacji musi rozpiętość cen jesiennych i wiosennych do poziomu stopy procentowej przybliżyć. W krajach zatem, gdzie stopa procentowa jest niższa, jak w Polsce, także i rozpiętość między cenami zboża po zbiorach i na przednówku musi być mniejsza niż polska stopa procentowa. Jeżeli, jak w naszym przykładzie, Polska eksportuje po 30, a importuje na wiosnę po 35, jeżeli przytem eksportuje do kraju o niższej stopie procentowej jak w Polsce, to znaczy to, że w Polsce można kapitałem otrzymanym za zboże w jesieni dorobić nie 50, ale 60, czy może 80 milionów. W tym wypadku, po imporcie wynoszącym 350 milionów, zostaje nam nadwyżka 10, 20, lub 30 milionów zysku.

Jedna jeszcze rzecz może się wydawać niejasna. Dlaczego zboże nie wywiezione leży w Polsce u rolników zamiast przejść w ręce tych, którzy ulokują w nim spekulacyjnie kapitał, oczekując zwyżki. Nietrudno to wytłumaczyć: 1) Rząd przez swoją politykę zwięża rozpiętość cen jesiennych i wiosennych poniżej panującej stopy procentowej (boć nawet poniżej stopy procentowej zagranicy); 2) kapitałów wolnych brak w Polsce. W ten sposób polityka rządu, sztucznie zmieniająca naturalny bieg rzeczy, pozbawia kraj niewątpliwie pewnego przyrostu bogactwa. Gdybym to chciał wyrazić formułą, na którą w chwili obecnej opinia jest bardziej wrażliwa, powiedziałbym, że pozbawia kraj dopływu kapitału z zagranicy w najdogodniejszej możliwie formie. Tem samem zaś podbija stopę procentową i wywołuje ciasnotę na rynku kredytowym. Pozbawieni bowiem kapitału obrotowego rolnicy zjawiają się na rynku kapitałów, poszukując pożyczek, jako nowi i zupełnie niepotrzebni tam konkurenci. Kapitał zagraniczny na skutek tego popytu napłylnie po wyższej stopie; ale zło się już stało. Polityka rządu pozbawiła kraj dopływu kapitału, który był w danej chwili potrzebniejszy jak zboże.

Co się zaś stanie w dalszym ciągu z produkcją tych zbóż, których ilość chcieli nasi ministrowie w kraju powiększyć, by się uniezależnić od importu z zagranicy? Zakaz wywozu i spowodowana nim zniżka cen zmniejszy ich opłacalność. Rolnicy będą robić wszelkie wysiłki, by się przerzucić do produkcji płodów, które się teraz lepiej będą kalkulować. Nawet więc ten fragmentaryczny gospodarczo, a przeto błędny cel, ale zacna intencja, jaką mogło być

poprawienie bilansu handlowego lub zaopatrzenie konsumentów, nawet ten cel nie zostanie na przyszłość osiągnięty. Odwrotnie: zboża krajowego będzie coraz mniej.

Na drodze takich ograniczeń eksportu, na drodze wprowadzania cen maksymalnych it.p. dążą rządy do dostarczenia ludności pewnych dóbr po niskich cenach. Jeżeli przekroczą granicę rentowności danej produkcji, to skutek jest zawsze ten sam: skurczenie się podaży (magazynowanie w nadziei, że krępujące więzy będą cofnięte), zmniejszenie produkcji danego dobra (jeżeli ograniczenia cen trwają dłużej), rozszerzenie wreszcie ogólnej konsumpcji tego dobra (nie tylko konsumpcji warstw uboższych), co prowadzić w końcu musi nie tylko do ogólnego zmniejszenia się bogactwa społecznego, ale i do strat tych warstw konsumentów, którymi rząd chciał się zaopiekować.

Typowym przykładem jest tu „ochrona lokatorów”, która nie tylko musiała zahamować ruch budowlany, ale pozwoliła również zajmować obszerne mieszkania wielu jednostkom, które byłyby musiały ograniczyć swoje potrzeby mieszkaniowe przy wyższych czynszach. Dzięki temu ograniczona została nie tylko podaż nowych, domów, ale i podaż mieszkań nawet w granicach uprzednio już wybudowanych domów.

Odwrotnym sposobem działania jest ustalanie pewnych cen jako minimalne. W praktyce stosowane bywają takie normy najczęściej do płacy. Ich skuteczność gospodarcza będzie jednak jaśniejsza, jeżeli wyobrazimy sobie, że podobny przepis zastosowano do produkcji jakiegokolwiek innego towaru, chcąc przez to przyjść w pomoc danej gałęzi produkcji. Ustalono, powiedzmy, minimalne ceny na mleko. Skutki są oczywiste: zmniejszenie popytu, niesprzedana pewna ilość mleka, straty dla producentów mleka, o ile występują w wolnej konkurencji. Jeżeli są monopolistami, to ich zysk ogólny może być w ten sposób powiększony. Zależy to od stosunku, w jakim popyt skurczy się pod wpływem wyższej ceny. To samo odnosi się do towaru – pracy. Na rynku wolnokonkurencyjnym musi wystąpić bezrobocie, jako bezpośredni skutek płacy minimalnej. Dla stowarzyszonych w związku zawodowym robotników (monopol), może to być z korzyścią. Cała warstwa robotnicza musi jednak ucierpieć.

Bezrobotnych utrzymuje lub zatrudnić musi państwo z podatków. Tak za jednym wkroczeniem w życie gospodarcze muszą przychodzić następne, coraz to bardziej oddalając życie gospodarcze od tego położenia równowagi, które zapewnia maksimum przyrostu wartości wymiennych, a tem samym (przy niezmiennym poziomie cen) maksimum bogactwa. Wielkość strat będzie różna, zależnie od stopnia reakcji poszczególnych sił ekonomicznych. Ekonomista-matematyk powiedziałby: zależnie od kształtu krzywych, które obrazują związki wszystkich wielkości: produkcji, konsumpcji, cen it.p. Jedno jest pewne: im szersze są grupy, których interes ogólny rozpatrujemy, im dalsze terminy, na które rozmierzamy przyrost bogactwa, tem solidarność interesów

jest bardziej ścisła. Tem większe też straty, które muszą być związane z wkraczaniem przymusu w życie gospodarcze. Drobne grupki, na krótki okres czasu mogą stąd czerpać efemeryczne korzyści. Linja rozwoju większej całości zostaje niewątpliwie załamana, postęp zahamowany.

Podnieść życie gospodarcze może tylko nawrót do liberalizmu w tych dziedzinach, gdzie, jak wykazało wiekowe doświadczenie, najsprawniej organizuje on życie gospodarcze.

Wykreśliłem granice, w których liberalizm powinien panować niepodzielnie. Przypominam te punkty życia gospodarczego, w których jego pole powinno być zacieśnione:

1. Potrzeby kolektywne: musi je zaspakajać gospodarka, oparta na świadczeniach przymusowych.
2. Potrzeby przyszłe:
  - a) w wyjątkowych wypadkach dbać musi organizacja państwowa o potrzeby przyszłe jednostek niedostatecznie przezornych;
  - b) czasami zapewniać musi zaspakajanie potrzeb następnych pokoleń, których nie umie wciągnąć w swoją kalkulację jednostka prywatna.

Do tych dwóch punktów dadzą się sprowadzić wszystkie uzasadnione gospodarczo ograniczenia liberalizmu.

Jakimi sposobami może państwo w tych granicach działać? Państwo ma w ręku trzy przymusowe środki oddziaływania na życie gospodarcze w kierunku jego przebudowania:

- a) samo występuje jako producent;
- b) zakazuje produkcji lub konsumpcji pewnych dóbr;
- c) oddziałuje na rentowność poszczególnych gałęzi produkcji i w ten sposób przesuwa ich proporcje.

#### *Quartum non datur*

Pierwszy sposób, konieczny, gdy chodzi o potrzeby kolektywne, jest w tych wypadkach *malum necessarium*. Gospodarka państwowa nie kierowana zasadą maksymalnej rentowności, już dla tego samego musi być bardziej marnotrawna od gospodarki prywatnej. Drugi sposób może być skuteczny o ile zostanie istotnie przeprowadzony. Trudności związane z jego urzeczywistnieniem są znane. Trzeci sposób obejmuje sobą wszystkie przypadki oddziaływania na ceny i koszty, o których już wspominałem poprzednio. Wolno go stosować, przy wzięciu w rachubę, o ile możliwości wszystkich, a nie tylko bezpośrednich jego konsekwencji. Jest instrumentem szczególnie delikatnym i obosiecznym.

Poza temi zasadniczymi wadami, które wiążą się z wkraczaniem państwa w życie gospodarcze, najgłówniejszym szkopulem jest jeszcze jedno: Państwo

ma „szlachetną ambicję” wyřeczania swych obywateli, rządu, kierowania. W dziedzinie życia gospodarczego wyraża się to jako bezustanny „dodatni spór kompetencyj”. Granice gospodarki prywatnej są elastyczne i ustępliwe. Nacisk państwa jest twardy i zdobywczy.

„Rząd liberalny jest to *contradictio in adjecto*. Rządy muszą być przymuszone do liberalizmu siłą jednozgodnej opinii publicznej; niema co liczyć na to, by dobrowolnie mogły być liberalne”<sup>9</sup>. Jednogodność opinii publicznej w Polsce powinna wzmocnić i obwarować granice racjonalnego liberalizmu.

---

<sup>9</sup> Mises, *op. cit.*, str. 50.



# DAŻNOŚCI ETATYSTYCZNE W POLSCE<sup>10</sup>

ADAM HEYDEL

## 1. Warunki rozwoju etatyzmu w Polsce

Etatyzm, jako system nadmiernego wtrącania się władzy w życie gospodarcze w drodze przymusu, ma w Polsce stare tradycje.

Cały wiek XIX przeżyła Polska w etatystycznej gospodarce.

Państwa zaborcze uprawiały wszystkie, choć każde w innej postaci, politykę gospodarczą w wysokim stopniu przesiąkniętą etatyzmem.

Idee Lista (nacjonalizmu gospodarczego), a potem socjalizm z katedry, przesiąkały do głębi psychologię rządzących sfer Niemiec. Polityka ochrony celnej, przemysłu od Zachodu, rolnictwa od Wschodu, rozbudowa polityki społecznej, oto owoce myśli etatystycznej w Niemczech.

Rosja stosowała przez cały wiek XIX prymitywny zapóźniony merkantylizm. Przy pomocy protekcjonizmu, kosztem rozwoju rolnictwa, pobudzała sztucznie swój przemysł i przemysł Kongresówki. Niedawne były czasy, gdy przedsiębiorstwo przemysłowe uważano w Rosji niemal za urząd państwowy. Społeczeństwo żyło pod urokiem nauki niemieckiej i tamtejszych prądów socjalistycznych we wszystkich ich odcieniach.

Austria nie przeszła również nigdy przez epokę liberalizmu gospodarczego, która odbiła swoje piętno na polityce ekonomicznej Państw Zachodnich.

Z epoki oświeconego absolutyzmu, w czasie której regulowano każdy niemal ruch jednostki (np. dekret określający z jaką datą wolno bydło wypuszczać na paszę), Austria przeszła do niezdecydowanej, ale mocno biurokratycznej gospodarki z szeroko rozrośniętą machiną państwową i rozdętem brzemieniem budżetu państwowego.

Ze szkoły myślenia tych trzech społeczeństw rekrutowali się przede wszystkim nasi politycy, urzędnicy, działacze społeczni.

Przyrodniczo-geograficzne i polityczne warunki życia polskiego skierowują same z siebie ku etatyzmowi. „Polska potrzebuje przede wszystkim fabryk broni” - mówił jeden z wybitnych naszych gospodarzy - Lubecki. Fabryki broni to nie jest potrzeba gospodarcza, to konieczność geograficzno-polityczna. Długi, otwarte granice, potężni, zaborczy sąsiedzi, to wszystko zmusza do zbrojeń. Ale to jeszcze nie zmusza do budowania fabryk broni. Broń można kupić (taniej!) zagranicą.

---

<sup>10</sup> Przedruk z miesięcznika *Prąd* 1929 r.

Zapewne. Ale Polska może być od tej zagranicy odcięta. Oto jeszcze jeden motyw geograficzno-polityczny, który zmusza do rozwijania takich gałęzi produkcji, które się gospodarczo niekalkulują. Do rozwijania jej zatem przy pomocy wpływu władzy państwowej. Do etatyzmu.

Są wreszcie pewne najmniej dostrzegalne, ale może najgłębiej sięgające przyczyny, które sprawiają, że gleba w Polsce jest szczególnie urodzajna dla etatyzmu. Przyczyny te leżą w naszej strukturze socjalno-kulturalnej. W bardzo szczupłej ilości występuje w Polsce typ nowoczesnego przedsiębiorcy – businessmana, „bourgeois” w znaczeniu stanu średniego. W masie reprezentują ten typ w Polsce głównie Żydzi (poza Poznańskiem). Włościanstwo nie odgrywa dotychczas czynnej roli w kształtowaniu polityki ekonomicznej. Struktura socjalna Polski to mieszanina trzech typów: szlachcica, inteligenta urzędnika i inteligenta z wolnego zawodu. Żaden z nich nie jest typem gospodarza-przedsiębiorcy w nowoczesnym tego słowa znaczeniu. Ideologia feudalna, kult tradycji, tradycyjnego sposobu życia i stopy życiowej, traktowanie ziemi nie jako warsztatu zarobkowego, ale irracjonalnie, z punktu widzenia sentymentu lub ambicji, charakteryzuje często nawet współczesnego ziemianina. Urzędnik nastawiony jest oczywiście etatystycznie. Im więcej ma inicjatywy, ambicji, energii tym silniej chce zaznaczyć swoją indywidualność. Wraz z inteligentem z wolnego zawodu ma na pół, lub zupełnie socjalistyczną wiarę w państwo, myśli „państwowo-twórczo”. Wszystkim tym trzem przeważającym w Polsce typom wspólne jest jedno: pogarda dla zysku, dla dorobkiewiczostwa.

U jednych wynika ona z socjalistycznej doktryny sprzeczności interesów (zysk jednego, strata drugiego) – i z postulatu produkcji dla zaspokajania potrzeb, a nie dla zysku. Innym, których światopogląd społeczny kształtował się pod wpływem słuszniejszej niewątpliwie doktryny narodowej – brak jednak głębszego zrozumienia harmonii interesów w zastosowaniu do spraw gospodarczych.

Stąd u wszystkich bezustanne żądania od Państwa „uzgadniania”, polepszania, ochraniania interesów tej czy innej grupy społecznej. Życie gospodarcze to według panującej opinii zło konieczne niosące krzywdę i wyzysk, które trzeba reglamentować i korygować.

To byłyby zasadnicze, sięgające daleko, wstecz i wgląd polskiego życia społecznego podstawy etatyzmu.

Dodały się do nich czynniki bardziej doraźnie działające.

Wojna zawsze i wszędzie prowadzi do rozkwitu etatyzmu. Państwu, chwili, naglej potrzebie podporządkowuje się interesy dalsze i bardziej istotne. Państwo kieruje życiem gospodarczym. Zakazuje i nakazuje produkować i handlować, wyznacza ceny, kontyngenty, płace, deputaty.

W Polsce żyliśmy pod obuchem wojny dłużej niż gdzie indziej, wojna toczyła się na naszym terytorjum. Koniec wojny związany był z obawami przewrotu i z obawami oddziaływania ideologii sąsiadów ze wschodu.

Przemożny wpływ na rządy osiągnęły grupy lewicowe. Reprezentują one warstwy niezadowolone. Chcą je zadowolnić: najłatwiej to osiągnąć poprzez przymus państwowy. Nie omieszkało uciekać się do tego środka.

## **2. Czy jest w Polsce etatyzm?**

Zdawałoby się po tem, co powiedziałem dotychczas, że Polska jest krajem, gdzie z konieczności etatyzm musi się rozwinąć. Inaczej być nie może. Ta rzecz podlega tymczasem dyskusji. Niejednokrotnie słyzy się i czyta dowodzenia: „ten etatyzm to straszak wymyślony przez opozycję polityczną!”.

Z tem twierdzeniem trzeba się rozprawić. Zanim jednak przystąpimy do dyskusji, musimy ściślej ustalić co należy uważać za etatyzm.

Powyżej wspomniałem, że jest to nadmierne wtrącanie się władzy w życie gospodarcze w drodze przymusu. To pobieżne określenie trzeba uzupełnić. Państwo ma pewne ważne zadania gospodarcze do spełnienia. Nie każdą zatem działalność gospodarczą państwa nazwiemy etatyzmem. Szwedzki ekonomista Cassel ujmuje je w sposób następujący: gospodarka prywatna winna panować wszędzie tam, gdzie za zaspokojenie potrzeb ludzie gotowi są płacić. Na to, żeby zaspokoić potrzebę głodu, trzeba zdobyć pożywienie za pieniądze lub pracę. Ktoś, kto nie zapłaci, nie dostanie pożywienia. Gospodarka prywatna odpłatnie dostarczy dóbr, które są tu potrzebne. Są jednak potrzeby, za których zaspakajanie ludzie nie chcą płacić, prosto dlatego, że z dóbr, które te potrzeby zaspakajają i tak można korzystać, jeżeli już raz powstały.

Dla zaspakajania tych potrzeb (Cassel nazywa je kolektywnymi) powinna wejść w życie gospodarka przymusowa (Państwa lub samorządów).

Te instytucje przymusowo, w drodze opodatkowania, zdobywają fundusze potrzebne dla wytworzenia dóbr zaspakajających kolektywne potrzeby.

W tych granicach Państwo musi gospodarować nawet w najbardziej liberalnie zorganizowanym społeczeństwie. W tych też granicach jego gospodarka jest zupełnie racjonalna i usprawiedliwiona. Chodzi tu tylko o ilościowo właściwe ustosunkowanie potrzeb indywidualnych i kolektywnych, bo oczywiste jest, że jedne zaspakajać można tylko kosztem drugich.

Wszelką działalność gospodarczą państwa, wychodzącą poza te granice, nazywam etatyzmem. Jasna jest rzecz, że w tem znaczeniu wszystkie państwa współczesne prowadzą gospodarkę etatystyczną.

Co do Polski nie może być oczywiście także wątpliwości. Ale etatyzm może mieć różne stopnie. Może być bardziej lub mniej szkodliwy. Chodzi więc o to, czy etatyzm w Polsce daleko jest zaawansowany. Czy dotkliwie szkodzi naszemu rozwojowi gospodarczemu. obrońcy obecnego systemu starają się wykazać, że

gospodarka w Polsce nie jest bardziej etatystyczna, jak gdziekolwiek bądź na świecie. Należy to sprawdzić.

Pierwszą cechą etatyzmu jest nadmierny rozrost gospodarki państwowej. O jej wielkości można nabrać pojęcia, rozpatrując budżety. Źródłem dochodów państwa są podatki, cła, monopole, przedsiębiorstwa państwowe.

### 3. Ciężar podatków

Profesor Adam Krzyżanowski napisał w swojej książce *Bierny Bilans Handlowy*: „Uważam za pewnik niezbity, że społeczeństwo polskie jest przeciążone podatkowo”<sup>11</sup>. Uznał to twierdzenie za tak oczywiste, że zlekceważył cyfrowe dowody przeciwne jako niedokładne. Zlekceważył je w zasadzie słusznie, ale ułatwił tem polemikę przeciwnikom. Jego twierdzenie zostało podane w wątpliwość przez naszych etatystów.

Pan Paweł Michalski, naczelnik Wydziału w Ministerstwie Skarbu próbuje zbić je z pomocą cyfr w przemówieniu, wygłoszonym na posiedzeniu dyskusyjnym u ks. Janusza Radziwiła<sup>12</sup>.

Porównuje on obciążenie w Polsce i w innych krajach i dochodzi do wniosków, że „Polska obciążona jest na głowę i w stosunku do dochodu społecznego – nawet po uwzględnieniu warunków ekonomicznych, znacznie niżej od innych państw”<sup>13</sup> oraz, że „obciążenie nawet przy pewnych wadach systemu podatkowego nie jest nadmierne”<sup>14</sup>.

Pan Michalski oblicza, że obciążenie (daniny państwowe i komunalne) wynosi na głowę ludności (lata 1928 i 1929):

w Polsce .....	złotych 90
w Niemczech .....	„ 479
we Francji .....	„ 433
w Anglii .....	„ 778
we Włoszech .....	„ 256

Wniosek stąd oczywisty: obciążenie w cyfrach absolutnych jest w Polsce mniejsze, wielokrotnie mniejsze, aniżeli w innych krajach europejskich. Ten wniosek można wyprowadzić, ale ani kroku dalej!

Należy bowiem, zanim przejdziemy do dalszych rozumowań, rozpatrzyć wpierw dwie rzeczy:

- a) czy podatki państw obcych nie są nadmierne;

---

<sup>11</sup> Ibidem, str. 58.

<sup>12</sup> Patrz: *Zagadnienie etatyzmu*, Warszawa 1929, str. 96-111.

<sup>13</sup> *Zagadnienie etatyzmu*, str. 97.

<sup>14</sup> Op.cit. str. 109.

- b) czy te małe w cyfrach absolutnych podatki w Polsce nie są, mimo to, ze względu na poziom zamożności w Polsce, cięższe od obciążeń zagranicznych.

Trzeba pamiętać, że obciążenia wzrosły od czasów przedwojennych w całej Europie kolosalnie. Dla Niemiec wzrost ten wynosi 140%, dla Francji 100%, dla Anglii 500%!<sup>15</sup> Wzrost ten tłumaczy się zadłużeniem wojennym (spłata długów Niemiec sojusznikom i długi międzyaljanckie), wzrostem pensji inwalidów i *last but not least*, bujnym rozwojem etatyzmu po wojnie we wszystkich tych krajach.

Gdybyśmy zestawili nasze obciążenie obecne z obciążeniem przedwojennym wymienionych państw – okazałoby się, że nawet w cyfrach absolutnych podatki w Polsce nie są małe. Okazałoby się, że w Polsce na głowę płaci się o połowę zaledwie mniej, jak w przedwojennej Anglii, Niemczech czy we Francji. Jeżeli natomiast zestawimy podatki opłacane dziś w Polsce z podatkami płaconymi w Polsce przed wojną, to okaże się, że dziś płaci się o 70%-100% więcej podatków, aniżeli przed wojną.

Pozostaje pytanie drugie: czy mniejsze, aniżeli w innych krajach obciążenie na głowę w Polsce, nie jest mimo to nadmierne w stosunku do sił gospodarczych Polaka?

Pan Michalski próbuje znaleźć odpowiedź na to pytanie, zestawiając dochód na głowę ludności w poszczególnych państwach i obciążenie dochodu podatkami. Wynika z jego obliczeń, że z dochodu społecznego zabiera państwo:

w Polsce .....	13,5%
we Francji .....	23,1%
w Anglii .....	21,3%
w Niemczech .....	26,6%

Obliczenie dla Polski nie jest pewne. Inny ekonomista, p. Szawlewski w poważnym dziele *Polska na tle gospodarki światowej* oblicza, że daniny przymusowe odbierają w Polsce

17% dochodu.

Nie chcę rozstrzygać, który z tych dwóch autorów ma rację. Twierdzę tylko, że myli się p. Michalski, dowodząc, że „Polska obciążona jest na głowę, i w stosunku do dochodu społecznego – nawet po uwzględnieniu warunków ekonomicznych – znacznie niżej od innych państw”. Myli się – nie uwzględnia bowiem faktów i praw życia gospodarczego, dobrze znanych ekonomistom, które zresztą oczywiste są dla zdrowego chłopskiego rozsądku.

---

<sup>15</sup> Kryzys gospodarczy lat ostatnich dobitnie wykazał, że nawet w najbogatszych społeczeństwach ciężary publiczne w dotychczasowej wysokości nie są na dłuższą metę do utrzymania.

Chłopski rozsądek wskazuje, że obciążenie 90 złotych<sup>16</sup> dla kogoś, kto ma dochodu rocznie 666 zł<sup>17</sup> (Polak) jest cięższe, aniżeli obciążenie w sumie 778 zł dla Anglika rozporządzającego dochodem 3,682 zł.

Badania, naukowe jeszcze jaśniej to tłumaczą. Wiadomo mianowicie, że rozdział dochodów na poszczególne wydatki zmienia się, zależnie od wysokości dochodu. Według szczegółowych badań statystyków niemieckich<sup>18</sup>:

	Rodzina zarządzająca dochodem:			
Wydaje z ogólnego dochodu:	Poniżej 1200 mk	1600-2000 mk	3000-4000 mk	Powyżej 5000 mk
na mieszkanie	54,2%	51,0%	38,1%	30,3%
na odzież	24,2%	18,0%	18,5%	14,5%
na opał i światło	9,2%	11,5%	14,0%	14,0%
na inne wydatki	6,2%	4,5%	3,6%	3,1%

Dochód na głowę ludności w Polsce = 666 zł; biorąc pod uwagę spadek siły kupna złota, dochód ten odpowiada +/- 200 przedwojennym markom niemieckim.

Rodzina, złożona z czterech do pięciu osób, ma zatem w Polsce przeciętnie około 800-1000 mk dochodu, należy zatem do najniższej grupy, rozpatrywanej w przedstawionej statystyce niemieckiej.

Jeżeli się od tego dochodu odejmuje 13% na podatki, to znaczy to, że pochłonięta zostaje nie tylko pozycja wydatków „innych” (kulturalnych i luksusowych), ale nawet nadwyreżone zostają pozycje niezbędne (pożywienie, mieszkanie, opał, światło).

Gdy natomiast Anglik, którego dochody wynoszą na rodzinę około 5000 marek, opłaca z nich 21,3% w postaci danin przymusowych, to pozostają mu nienaruszone wszystkie pozycje niezbędne, a ponadto pozostaje mu w pozycji „wydatki inne” 15,5% na zaspakajanie potrzeb dalszych i co najważniejsze: na kapitalizację. Suma ta wynosi około 390 zł, t.j. więcej jak 50% ogółu dochodu Polaka. Nie trzeba też zapominać, że Anglik znacznie lepiej je, mieszka i ubiera się od Polaka.

Sprawa wygląda jeszcze tragiczniej dla Polaka, jeżeli przyjąć, że słuszne jest obliczenie p. Szawlewskiego, t.j. że daniny zabierają około 17% (przed wojną około 10%,) dochodu. W takim razie Polaka nie stać nietylko na gazetę czy

<sup>16</sup> Podatki państwowe i samorządowe przekraczają w latach ostatnich 100 złotych na głowę.

<sup>17</sup> Przyjmuje cyfrę p. Michalskiego, zastrzegając się, że uważam ją za zbyt optymistyczną.

<sup>18</sup> Por. Philippovich, *Zasady ekonomji społecznej*, str. 635-636.

oszczędzenie paru groszy, ale nawet na opał i światło! Ten wniosek napozór paradoksalny, nie jest bez uzasadnienia. Trzeba sobie uświadomić, że w obecnych warunkach wielki odsetek ludzi w Polsce żyje z majątku, bo wydatki ich nie mieszczą się w dochodzie.

Oto jak przy bliższej analizie wygląda optymizm p. Michalskiego. Ten prosty i krótki rachunek starczy za odpowiedź na pytanie, czy gospodarka państwowa, oparta na podatkach, odpowiada rozmiarami siłom gospodarczym społeczeństwa polskiego.

#### 4. Inne ciężary

Gospodarka państwowa w Polsce nie ogranicza się jak wiadomo do danin przymusowych. Drugim ważnym źródłem dochodu są monopole państwowe, z nich najważniejsze: spirytusowy, tytoniowy, zapalczany. Mówiłem już, że państwa zaborcze prowadziły politykę etatystyczną. Polska je jednak prześcignęła w tym punkcie: monopol spirytusowy działał tylko w Rosji – nie było go w Austrii i w Niemczech, monopol tytoniowy istniał w Austrii, nie było go w Rosji i w Niemczech, monopol wreszcie zapalczany nie był znany na terytorjum Polski przed wojną.

Polska zastosowała wszystkie monopole państw zaborczych i dodała do tego inne (monopol solny, monopol rurociągów gazowych)<sup>19</sup>.

Monopol jest pośrednim obciążeniem przymusowym ludności. Gdyby w Polsce produkcja np. zapalek odbywała się w wolnej konkurencji, to poszczególne fabryki musiałyby konkurować ceną i jakością. Przy monopolu ustalić można cenę wyższą. Różnica stanowi właśnie zysk skarbu i stratę ludności.

Monopole dają Państwu blisko 1/3 część ogółu jego dochodów. Dają około połowy sum uzyskiwanych z podatków. W cenach wyrobów monopolu tytoniowego i spirytusowego zaledwie 1/4 odpowiada kosztom produkcji, a około 3/4 stanowi zysk państwa.

Ale, powie ktoś: te pieniądze nie giną, pozostają w kraju. Jest to pogląd mylny. Takie jak w Polsce ustosunkowanie obciążeń przymusowych do dochodu, nawet w tym wypadku, gdyby pieniądze zebrane przez Państwo użyte były najcelowiej – jest jednak klęską gospodarczą. Pieniądze te są wyrwane z tych miejsc, gdzie mogłyby pracować istotnie wydajnie, t.j. rentownie, a – trzeba to powiedzieć – zużywane są marnotrawnie. Urzędy i urzędnicy są gospodarczo potrzebni, jeżeli nie są w nadmiarze. Na terytorjum ziem polskich liczebność urzędników w stosunku do czasów przedwojennych powiększyła się dwukrotnie. To na pewno jest nadmiar. Ktoś powie: nie można ich zwalniać i powiększać bezrobocia. Nieprawda! Gdyby obniżyć podatki, pieniądze, pozostałe w gospodarce prywatnej, wytworzyłyby popyt, który z nadwyżką wessalby w życie zwolnionych urzędników.

---

<sup>19</sup> Porównaj: A. Krzyżanowski, *Bierny bilans handlowy*, str. 37-38.

Polska jest zbiurokratyzowana. Oznacza to, że część ludności, pracująca gospodarczo, utrzymuje na swoich barkach rzesze urzędnicze darmozjadów: Darmozjadzi to, częściowo z powołania i przekonania, poprostu ludzie leniwi, tracący czas na pogawędki, czytanie gazet i picie herbaty. Częściowo darmozjadzi nie z własnej winy. Ludzie pracowici, ale używani do pracy gospodarczo niepotrzebnej, często nawet w życiu gospodarczym przeszkadzający. Choć mało płatni – niemniej konsumują z bogactwa Polski więcej, aniżeli doń dodają.

Państwo prowadzi szereg przedsiębiorstw na wielką skalę, należą doń lasy państwowe, kopalnie, fabryki. Jakże je prowadzi?

Między czasopismami *Przemysł i Handel* i *Przegląd Gospodarczy* toczyła się polemika o to, czy przedsiębiorstwa te istotnie się rentują. Zarzucono rządowi, że wszystkie obliczenia rentowności są błędne, przedsiębiorstwa te bowiem nie mają bilansów otwarcia. Tem samym niewiadomo, od jakiej sumy trzeba obliczać dochód odrzucony przez owe przedsiębiorstwa. Jasne jest, że jeżeli przedsiębiorstwo warte jest 1 milion, to dochód 100.000 złotych jest poważny, ale jeżeli wartość przedsiębiorstwa wynosi 10 milionów, to dochód 100.000 zł jest bardzo niski.

Obrońcy Rządu wskazywali na trudności sporządzenia tych bilansów i podali, że jedno z przedsiębiorstw ma taki bilans gotowy. Obliczyłem, że przedsiębiorstwo to daje 1% rocznie od kapitału, jaki w niem tkwi, a jest to kopalnia węgla, wysoce uprzywilejowana, sprzedająca cały swój węgiel na rynku wewnętrznym (więc po wyższych cenach), zwolniona od części podatków it.d.

Państwo rozszerza swoją produkcję na wytwory, które może lepiej i taniej produkować przemysł prywatny.

Takie rozszerzanie gospodarki państwowej nie spotykane jest nigdzie, poza Bolszewią. Jest to „kapitalizm państwowy”, którego niepodobna uzasadnić żadnymi argumentami.

Minister Jędrzej Moraczewski wykazał w swoich słynnych artykułach w *Przedświcie*, że Państwu przybywa rocznie 100 nowych przedsiębiorstw. Dowodził, że jesteśmy na drodze do przekształcenia naszej gospodarki na ustrój socjalistyczny. Fakty potwierdzają jego spostrzeżenia.

Teoria wykazuje niezbicie, że jest to z wielką szkodą dla dobrobytu społecznego. Przedsiębiorstwa te źle się rentują, to znaczy, że społecznie przynoszą stratę. Kapitały zatrudnione w nich mogłyby bowiem pracować gdzieindziej rentowniej i wydatniej.

## 5. Interwencjonizm w Polsce

Jednym rozgałęzieniem etatyzmu jest nadmierny rozrost gospodarki państwowej. Mówiłem o tem powyżej. Drugą gałęzią jest wkraczanie państwa w obręb gospodarki prywatnej. Jest to tak zwany interwencjonizm. Państwo w drodze ustaw i rozporządzeń pragnie regulować życie gospodarcze. Chce rozwijać jedne gałęzie produkcji, a hamuje inne. Wpływa na rozdział dochodu



społecznego it.p. Rozpatrzmy z kolei, czy w tym zakresie mamy do czynienia w Polsce z dążnościami etatystycznymi.

Liberalowie zarzucają etatystom polskim politykę zbyt wysokiej protekcji celnej. Etatyści uważają, że protekcja celna wynika „nie z doktryny etatyizmu, a z potrzeb naszego życia”<sup>20</sup>. Znając zapóźnienie w rozwoju naszego przemysłu, brak kapitałów it.p., nikt z rozsądnych liberalów nie mógłby doradzać nagłego skasowania cel, bo to doprowadziłoby mogło do katastrofy. Inna rzecz, czy polityka celna, jaką Polska stosuje, wychodzi krajowi na dobre. Według obliczeń Sekretariatu Ligi Narodów dla konferencji genewskiej, Polska należy do grupy państw, otoczonych najwyższym murem celnym w Europie. Cła jej w przecięciu wynoszą więcej jak 25% wartości importowanych towarów. Z pośród państw europejskich wyższe cła mają tylko: Węgry, Hiszpanja i Rosja sowiecka.

Taka polityka celna, która zmusza do dopłacania 25 złotych na każde sto złotych ceny towaru, to już protekcjonizm przesadny. Rosja każe dopłacać prawda 43%. Cały przemysł sowiecki jest wyhodowany sztucznie. Niechby obniżyli cła – zostanie zdmuchnięty z powierzchni ziemi. Tak jak jest dzisiaj, konsument wytworów przemysłowych w Rosji jest wyzyskiwany: dopłaca niemal połowę ponad wartość towarów, jakie dostaje. Przemysł rosyjski żyje w 1/3 kosztem rolnika. To samo *mutatis mutandis* odnosi się do Polski: konsument wytworów przemysłowych (przedewszystkiem rolnik) mógłby mieć pług, siewnik, buty, ubranie o ćwierć taniej, gdyby nie nasza taryfa celna.

Należy się poważnie zastanowić, czy te straty rolnika nie przeważają korzyści podtrzymywania przemysłu. Dla teoretyka nie ulega wątpliwości, że tak jest istotnie. Przy dzisiejszej polityce, siłą próbujemy zmienić strukturę naszej gospodarki. Idziemy nie w kierunku naturalnego, ale sztucznego, niezdrowego rozwoju. Hamujemy rozwój rolnictwa, które przecież słusznie uważane jest za podstawę gospodarki polskiej. Nic dziwnego, że rolnictwo wegetuje i nie zaspakaja dostatecznie potrzeb kraju.

Skądinąd zresztą gniecione jest również rolnictwo i polityką handlu zagranicznego. Są to owe słynne już dziś zakazy wywozu, kontyngenty, cła wywozowe, rezerwy zbożowe.

Posłuchajmy co o nich mówią obrońcy polityki etatystycznej:

„Okazało się, że rezerwy zbożowe wbrew przewidywaniom producentów wyszły na korzyść samym producentom. Osiągnięta dzięki rezerwom zbożowym stabilizacja cen przedewszystkiem dała korzyści producentom”.

„Polityka zbożowa przeszła pewne etapy. W r. 1925 sprowadzono mąkę. W roku 1926 sprowadzano już tylko ziarno, a w r. 1927 zatrzymano ziarno w kraju, to znaczy, iż w r. 1927 nie popełniono błędu lat poprzednich: zdołano zatrzymać w kraju zboże, unikając zbędnego przywozu. A więc w ciągu trzech lat uczyniliśmy w dziedzinie polityki zbożowej kilka kroków na drodze ku temu

---

<sup>20</sup> *Zagadnienie etatyizmu*, przemówienie p. Starzyńskiego, str. 45.

celowi ostatecznemu, którym jest działanie planowe, a co p. Wierzbicki uznaje za mrzonkę”<sup>21</sup>.

Powiedziane to było 12 grudnia 1928 r. Trzeba tylko przypomnieć sobie katastrofę, jaką przeżywa rolnictwo od pół roku, żeby zdać sobie sprawę z optymizmu p. Starzyńskiego. Trzeba uzupełnić jego wywody o dotychczasowej polityce zbożowej tem, że Rząd wypuszcza w roku bieżącym żyto zagranicę bez zastrzeżeń<sup>22</sup> – oto do jakiego stopnia zbliżamy się do planowości w działaniu. Trzeba wreszcie obliczyć straty, jakie poniósł sam Skarb Państwa, zmuszony wysprzedawać się z rezerw zbożowych na wiosnę po katastrofalnie niskich cenach, żeby do końca wyczerpać błogosławieństwa tego systemu.

Na jakich zaś podstawach opierała się cała ta polityka?

Dwóch uczonych zajęło się zbadaniem jej podstaw. Docent Uniwersytetu Jagiellońskiego dr. Ferdynand Zweig w następujący sposób charakteryzuje zbieranie materiałów, na których potem opiera Rząd swoje zarządzenia: Główny Urząd Statystyczny rozsyła kwestjonariusze do swoich korespondentów w całym kraju. Ci „na oko” szacują powierzchnię oraz prawdopodobne zbiory w swojej okolicy.

Znaną jest rzeczą, że taka statystyka rolnicza jest jedną z najmniej pewnych i szacunki niezmiernie trudne. Jeśli weźmiemy pod uwagę niezbyt wysoki nieraz poziom umysłowy „korespondentów”, a do tego ich tendencję (jeśli są rolnikami) niskiego szacowania urodzajów, jasno zrozumiemy, że różnice między ich przewidywaniami a rzeczywistym urodzajem mogą łatwo sięgać 30%-40%.

Od tak oszacowanej sumy przyszłego urodzaju odejmuje się sumę potrzebną na konsumpcję i wysiew. Reszta ma stanowić nadwyżkę na wywóz, lub niedobór, który trzeba uzupełnić dowozem.

Ale owa suma konsumpcji i wysiewu została obliczona z zeszłorocznych szacowań urodzaju i zeszłorocznej nadwyżki, względnie niedoboru. W zeszłym roku zaś metoda zbierania danych była równie niedoskonała, jak w bieżącym. Teraz już błąd obliczeń może łatwo sięgać 50%. W najlepszym razie nie zejdzie poniżej 10%.

A oto drugi ekonomista, Docent U.J. Dr. Stefan Schmidt wykazuje, że wahania (nadwyżki na wywóz lub niedobory) nie sięgały w ciągu lat ostatnich w jedną i drugą stronę dalej jak 3% ogólnego zbioru.

Tak więc rozporządzając statystyką błędną na dziesiątki procentów, chciano na jej podstawie regulować sprawy, których różnice wahają się w granicach 3%!<sup>23</sup>

---

<sup>21</sup> *Zagadnienie etatyzmu*, str. 47.

<sup>22</sup> Rząd dopłaca nawet od roku 1929 premje za wywóz zboża.

<sup>23</sup> Główny Urząd Statystyczny przeszedł od r. 1928 do innej metody: do metody rejestracji zasiewów. Rejestracje przeprowadzają urzędy gminne. Ta metoda nie może być również bardzo ścisła. Już pierwsza próba wykazała za to zupełną błędność dotychczasowych materiałów, opartych na szacunku. (Por. *Rolnictwo* rok II, t. I, zeszyt I, październik 1929.)

Pomijam już zupełnie teoretycznie błędną zasadę, że musimy jeść własne zboże<sup>24</sup>. Sama ta kruchość podstaw empirycznych naszej polityki zbożowej wydaje na nią wyrok potępiający.

Podłożem tej polityki są względy socjalno-polityczne, a nie ekonomiczne. Intencją jej kierowników jest dać miastom, a w szczególności robotnikom, tanie zboże. Zapominają o tem, że dzięki tej polityce zmniejszają bardzo poważnie zdolność konsumcyjną rolnictwa. Obniżają więc popyt na produkty przemysłu. Zwążają rynek wewnętrzny, który jest główną podporą naszej produkcji przemysłowej. To zaś musi się odbić na zmniejszeniu zapotrzebowania na ręce robocze w przemyśle i wyrazić niższą płac robotniczych.

Naturalną linią rozwoju byłoby: wyższe ceny produktów rolniczych, niższe ceny wyrobów przemysłowych, wyższe płace realne. Nasza polityka interwencyjna odwraca ten naturalny bieg rzeczy.

Te same względy socjalne wpływały na konstrukcję naszego systemu podatkowego. Stosuje się w Polsce zasady progresji w zakresie nigdzie nie spotykanym (np. progresja przy podatku gruntowym). Podatek obrotowy uprzywilejowuje przedsiębiorstwa mniejsze wobec większych.

Przyświeca tu znów myśl sztucznego nałamywania zdrowego rozwoju do z góry powziętych planów. Rezultatem jest nieopłacalność większych warsztatów produkcji, a co za tem idzie niesłychanie mały przyrost oszczędności (kapitalizacja).

Osobny dział interwencjonizmu stanowi cały zespół ustaw, zbudowanych pod kątem widzenia reformy socjalnej. Na czoło wybija się tu ustawodawstwo agrarne. O ile część jego: ustawy o komasacji, o likwidacji serwitutów, wzorowane są na przykładach europejskich i powinny dać jaknajpomyślniejsze wyniki, o tyle ustawa o reformie rolnej, nawet w jej ulepszonej postaci z r. 1925, zbliża się raczej do wzorów wschodnich.

Ustalenie nieprzekraczalnego maksimum posiadania kontyngentu, który corocznie musi być sparcelowany, to postanowienie, nie dające się ekonomicznie uzasadnić.

Stosownie do postanowień tej ustawy w ciągu 6 lat najbliższych mają zniknąć folwarki ponad 180 hektarów. Widzimy znowu plan przekształcenia siłą ustroju. Czy ten wynik jest naprawdę gospodarczo pożądany? Pozostawiam sąd tym, którzy mieli sposobność zwiedzić dział rolniczy na Wystawie Poznańskiej.

Nasze ustawodawstwo społeczne (czas pracy, ubezpieczenia, interwencja państwa w sprawie wysokości płacy it.p.) szeroko jest rozbudowane. W wielu punktach wyprzedziliśmy społeczeństwa Zachodniej Europy. Cudzoziemcy (Kemmerer) wyrażają wątpliwość, czy nasze zamierzenia w tym zakresie „nie są zbyt ambitne”. Nie chcę tej sprawy dyskutować. Wskażę tylko, że obciążenie

---

<sup>24</sup> Patrz *Granice gospodarcze liberalizmu*, ut supra, str. 22 i nast.

produkcji jakie się z nimi wiąże, możnaby znieść znacznie łatwiej, gdyby nie ciążył zarazem na wszystkich warsztatach ogromny ciężar podatków państwowych i samorządowych.

Każdy, kto zetknął się z życiem praktycznym wie, że ową nadmierną opiekę i kierownictwo Państwa odczuwa to życie jako nieznośne, krępujące więzy. Dławi się ono w sieci przepisów, zakazów i nakazów. Niekiedy przybierają one formy wprost groteskowe. Któż nie spotkał się z owymi rozporządzeniami o dostarczaniu dat statystycznych. Całe tablice, rozsyłane w setkach tysięcy egzemplarzy po kraju, służą często do tego, by wpisać w nie jedną cyfrę. Częściej jeszcze zmuszają do podawania cyfr niepewnych, lub wprost fałszywych.

Na wiosnę bieżącego roku (1928) rozesłano do gmin rozporządzenie pobielenia wszystkich budynków leżących w pobliżu szos (!) na odległość zasięgu wzroku (!!). Urzędy gminne i ludność wykonały rozkaz literalnie. Widziałem cały szereg budynków z pobieloną tylko jedną ścianą: od strony szosy...

W całym świecie jest znana i przeszła do historii opowieść o „wioskach Patiomkinowskich”, które generał Patiomkin na przyjazd Katarzyny drugiej rozkazywał budować. Nasze zarządzenia dobrze ten wzór kopują.

## 6. Etatyzm „liberałów”

Ostatni zaś rodzaj etatyzmu, najsmutniejszy etatyzmu objaw – to psychologia tych, którym się zdaje, że etatystami nie są, to jest tak zwanych sfer gospodarczych. Najsmutniejszym nazywam ten objaw dlatego, bo jeżeli i w tym obozie liberalizm gospodarczy nie znajdzie oparcia – to walka z etatyzmem może się w Polsce okazać beznadziejną.

Słusznie w polemice wypominają przeciwnikom etatyści, że wszak oni domagają się od Rządu protekcji celnej (przemysł), że oni poddali myśl rezerw zbożowych tworzonych przez Państwo (rolnictwo). Niekiedy jest to wynikiem braku energii, braku woli do walki. Słusznie charakteryzuje ten nastrój społeczeństwa pan Stanisław Wyrobisz<sup>25</sup> następującymi słowami:

„Nikt nie myśli o tem, jak zdobyć dla siebie własnym wysiłkiem lepsze jutro, nikt nie stara się o koordynację wysiłków jednostek. Stąd płynie etatyzm, jakim nasze życie jest przesiąknięte: z chęci zwalania ze swoich pleców ciężaru wysiłku i odpowiedzialności; dlatego społeczeństwo jest tak nieliberalne”.

„Kiedyindziej znowu spotykamy objawy zupełnego pomieszania pojęć. W jednym z poważnych czasopism polskich, uważających się za twierdzą liberalizmu, czytałem dwa artykuły, pisane przez rolników. W jednym autor proponował ustalenie ustawowo, jakie wykształcenie (niższe, średnie, wyższe) winien posiadać rolnik gospodarujący na małym, średnim, dużym warsztacie rolnym. Inaczej mówiąc, proponował system koncesji, który nie jest niczem

---

<sup>25</sup> Idem, *Etatyzm czy liberalizm*, str. 46.

innem, jak daleko posunięciem ograniczeniem wolności gospodarczej, koniecznym w wyjątkowych wypadkach, (np. apteki, praktyka lekarska), ale którego nie wolno rozszerzać tam, gdzie to nie grozi bezpośrednio niebezpieczeństwem społeczeństwu.

W innym artykule ten sam autor wywodził, że należy ustalić, ilu minimalnie robotników na 1 ha ziemi ma mieć obowiązek zatrudnić przedsiębiorca rolniczy, zależnie od warunków majątku.

Ten sam dziennik drukował sprawozdanie z akcji stowarzyszeń rolniczych, skierowanej ku podniesieniu wydajności ziemi. Sprawozdawca (uważa się jeszcze za liberała) kończył wezwaniem do Rządu, by wziął tę sprawę w swoje ręce, bo inaczej pozostanie z tej akcji tylko kupa papierów.

Na zakończenie zaś wesół wiadomość: powstała w Warszawie „Liga walki z etatyzmem”. Na pierwszym posiedzeniu uchwaliła ona zwrócić się do rządu o 50 milionów zł pożyczki!

To wystarczy.

Rząd ma w Polsce robić wiele, niemal wszystko.

Ma nawet zwalczać etatyzm!

## 7. Wnioski

Etatyzm polega w Polsce na nadmiernej rozbudowie gospodarki państwowej oraz na wciskającej się we wszystkie tryby życia gospodarczego interwencji państwa. Interwencja ta popycha do uprzywilejowania przemysłu kosztem rolnictwa i warstw gospodarczo słabszych, kosztem gospodarczo silniejszych.

Wszystkie działy etatyzmu wyrażają się w niesłychanej ilości więzów, nakazów i zakazów, które zmuszają do zmiany dyspozycji gospodarczych jednostki.

Jednostka dążyłaby do osiągania możliwie największych nadwyżek ponad swoje koszty t.j. możliwie najwyższych zysków. Państwo jej to uniemożliwia. Nieraz doprowadza do tego, że całe gałęzie produkcji przestają się rentować.

To hamuje w najwyższym stopniu możliwość kapitalizacji. Szybki i możliwie najsilniejszy przyrost kapitału jest najważniejszym zagadnieniem gospodarczym, a jednym z najważniejszych zagadnień politycznych i kulturalnych Polski.

Nasz poziom bogactwa jest bardzo niski. Należy go podnieść. Na to jednak, by przynajmniej ten poziom utrzymać przy naszym przyroście ludności (1,5% rocznie), trzeba by rokrocznie odkładać (kapitalizować) 1,5% majątku każdej jednostki.

Jeżeli tego nie zrobimy, grozi nam: albo pauperyzacja ze wszystkimi jej strasznymi konsekwencjami, albo szeroko rozwinięty ruch neo-maltuzjański, który niewątpliwie niesie ze sobą objawy politycznie, kulturalnie i moralnie

niepomyślne. Podniosłem już na początku mego referatu, że Polska ze względów polityczno-wojskowych musi mieć etatyzm w pewnych punktach szerzej od innych państw rozwinięty. Nasz budżet wojskowy nie może być mały. Musimy popierać przemysł amunicyjny, chemiczny, nawet wówczas, jeżeli się gospodarczo nie kalkuluje. To są konieczne obciążenia życia gospodarczego.

Tem bardziej należy rozluźnić więzy i ulżyć życiu gospodarczemu na wszystkich innych odcinkach. Względy polityczne są tu zasadnicze. Bez rozkwitu gospodarczego nie będzie nas stać na armaty, aeroplany, tanki. Nie będzie nas stać na obronę granic, na utrzymanie niepodległości.

Z tych wszystkich względów uważam walkę z etatyzmem za główne zagadnienie gospodarcze w Polsce, a zagadnienia gospodarcze za oś ogółu zagadnień polskich.

Sprawa wzbogacenia kraju to nietylko zagadnienie materializmu. Adam Smith mówił, że gdzie się rozwija życie gospodarcze, tam się podnosi uczciwość i rzetelność.

Należy się zastanowić nad temi spostrzeżeniami człowieka, który umiał patrzeć.

Wzbogacenie to mniej kradzieży, mniej oszustw, mniej wyzysku i mniej zawiści. To zatem piękny cel także z punktu widzenia etyki.